

okt., zach

B L U S Z C Z



OD ADMINISTRACJI

Prosimy o wpłacanie prenumeraty za miesiąc maj r. b. Czeki P. K. O. dołączyliśmy do numeru 16-go.

NA CZEKACH PROSIMY WYMIENIAĆ OKRES, KTÓREGO PRENUMERATA DOTYCZY, ORAZ PODAWAĆ DOKŁADNY SWÓJ ADRES, A TO: IMIĘ, NAZWISKO, ZAWÓD, MIEJSCE ZAMIESZKANIA, ULICĘ, Nr. DOMU I POCZTĘ.

Baczność Matki!

Baczność Matki!

8 M A J A

WYJDZIE Z DRUKU

PIERWSZY NUMER DWUTYGODNIKA

„DZIECKO I MATKA”

Dwutygodnik ten, którego współpracownikami są wybitni lekarze, pedagodzy oraz specjaliści w wychowaniu dziecka w okresie przedszkola, będzie poświęcony sprawie wychowania i zdrowia dziecka do lat 7-miu (prospekt dołączamy na osobnej karcie). **Każdy numer w barwnej okładce**, bogato ilustrowany, z dodatkami t. j. tablicą krojów ubrań dziecięcych, względnie krojami bibułowymi **kosztować będzie: pojedynczo 60 gr.; w prenumeracie miesięcznej z przesyłką — tylko 50 gr.; kwartalnej — 45 groszy.**

Najlepiej przesłać prenumeratę kwartalną w kwocie 2 zł. 70 gr. lub ostatecznie miesięczną w kwocie 1 zł. czekiem P. K. O. Nr. 12.900. Numery okazowe wysyłać będziemy po nadesłaniu znaczków pocztowych za 50 gr. do

Administracji „DZIECKA i MATKI”
Warszawa, Krakowskie Przedmieście 99.

Czek P. K. O. dołączamy.



ROK LIX

№ 18

BOGUSZKA

WARSZAWA, 1 MAJA 1926 ROKU.

TREŚĆ NUMERU: Nie przeoczmy chwili—C. W. Nowe pole pracy i zarobku. Praca „od dołu” (dok.)—*Helena Boguszewska*. Węzły gordyjskie w sprawie małżeńskiej—*Prawnik*. Róża tajemnicza—*Karolina Bielańska*. Porta-fior—*A. Valardo*. (tłum. T. J.). Wiersze: Sonata—*Juliusz Wirski*. W godzinie myszy (c. d.)—*Max Douthenday* (tłum. Z. Rabska). Krystyna Rossetti (c. d.)—*Z. Reutt-Witkowska*. Córka Boga (c. d.)—*Z. Zawiszanka*. Kobieta w świecie i w domu—*Z. B.* Na marginesach życia—*Andrea*. Z teatrów—*Z. P.* Dział praktyczny: Mody i roboty. Motyw na szarem płótnie. List z Paryża—*Sakwa*. To, co nam najbardziej psuje życie—*N...ska*. O znaczeniu sił przyrody w lecznictwie—*Dr Gabriela Majewska*. Historia stolika—*I. S.* Gaz w kuchni—*Pani Elżbieta*. Przepisy gospodarskie—*Pani Elżbieta*. Korespondencje działu praktycznego. Opis sukien i robót. Dodatek powieściowy: „Jarek i Hamlet” (kronika z łańczę z życia pewnego chłopca, jego psa i prowincjonalnego miasta (c. d.)—*Hugh Wolpole* (tłum. z angielskiego *Irena Wasutyńska*). ARKUSZ WZORÓW.

NIE PRZEOCZMY CHWILI



iosna już w pełni rozkwitu. Kto może, myśli o wyjeździe. Letniska i uzdrowiska polskie ściągają w tym roku zapewne większą liczbę przyjezdnych, niż zwykle. Coraz mniej ludzi u nas może pozwolić sobie na podróże zagraniczne, któremi polak zamożny miał pochwalić się co rok przed światem przyjaciół i znajomych.

Przymusowy patriotyzm letniskowy winien zwrócić uwagę sfer zajmujących się przemysłem zdobniczym (dużą, bodaj największą rolę, grają tu kobiety) na niewyzyskane prawie zupełnie dotychczas rynki zbytu.

Kto znajdzie w uzdrowiskach kresowych, jak Druskieniki, Supraśl, albo w letniskach i uzdrowiskach Wielkopolski, b. Królestwa Polskiego drobiazgi wyrobu swojskiego? Jakiś haft, koronkę, batik, większe i małe kilimy, zabawki o charakterze rodzinnym, wazony z ceramiki, garnki i miski gliniane?—Co najwyżej zapłacze się tu i owdzie jakaś półeczka, nożyk, ciupaga zakopiańska, te zyskały sobie już wszechpolskie obywatelstwo. Ale żaden właściciel sklepu nie pomyślał o sprowadzeniu gracików ozdobnych, lub przedmiotów użytku codziennego ze szkół rodzinnych, warsztatów chałupniczych i wytwórni przemysłu ludowo-artystycznego.

Z konieczności—chcąc przywieźć znajomym i krewnym jakiś drobiazg pamiątkowy—trzeba za-

opatrywać się w surogaty obcej pomysłowości. W pseudo japońskie, lub chińskie wachlarzyki, tandentne kałamarze, szablonowe piórniki, teczki, pudełeczka z wybitnym piętnem „made in Germany” (mimo nieustalonych jeszcze traktatów handlowych). Ugarniowane są niemi obficie wystawy i gabloty sklepowe.

W zdrojowiskach i letniskach małopolskich jedynie spotyka się wyroby naszego własnego przemysłu. Ale bo też tylko pod b. zaborem austriackim było można otoczyć przemysł ten wyjątkowo troskliwą i zabiegliwą pieczę. Popierał go Wydział krajowy i wysiłki całego społeczeństwa. Wielkie organizacje jak Liga Pomocy Przemysłowej, Patronat nad rękodzielniczym i drobnym przemysłem, Liga kobiet pomocy przemysłowej, Związek pracy kobiet i mnóstwo drobnych kół, kółeczek, które—obejmując cały obszar b. Galicji—krzewiły nietylko idee doniosłości pracy w tym kierunku i zakładały wzorowe szkoły, warsztaty, wytwórnie, ale organizowały zarazem ogniska i szerokie gościńce zbytu.

Od czasu wojny nie byłam w żadnym uzdrowisku małopolskiem. Nie wiem, czy i jak jest wyzyskany tam nasz przemysł zdobniczy obecnie. Sądzę, że miejscowe Związki, Patronaty i Ligi postarały się o wyrugowanie ze sklepów lichej tandety zagranicznej i wprowadziły nasze własne wyroby, które już zdobyły sobie uznanie na szerokim świe-

cie. Ameryka skupuje nasze kilimy i hafty. Wielkiem powodzeniem cieszy się tam różnobarwny haft kaszubski o motywach ludowych. A miałby zbyt daleko większy, gdyby postarano się o zorganizowanie go. Paryż, na jury międzynarodowym, przyznał wielką nagrodę (Grand prix) naszej metodzie nauczania zdobnictwa.

Szkoła Stryjeńskiego w Zakopanem i Szkoła sztuki zdobniczej i malarstwa pod kierunkiem Szczepkowskiego w Warszawie, zajęły pierwszorzędne miejsca wśród szkół tego typu na wystawie paryskiej ub. roku. Uczą tu poczucia formy i kształcą w specjalnie polskiem jej traktowaniu przy zwracaniu bacznej uwagi na własną pomysłowość twórczą ucznia.

Tym sposobem dochodzi się do nadzwyczajnych wyników. Przemysł zdobniczy przesłaja być uważany jako rzeniosło i nabiera znaczenia prawdziwej sztuki, jak za Benvenuto Cellini'ego. Dużo jeszcze pozostaje do zrobienia. Szkoła Szczepkowskiego skrzepowana jest przedewszystkiem rozpaczliwą ciasnotą, utrudniającą jej rozwój, a budżet miasta nie pozwala na postawienie nowego gmachu, zaprojektowanego już od lat trzech. Jednak — połączonymi wysiłkami tych dwóch uczelni (Stryjeńskiego i Szczepkowskiego), a także Szkoły T-wa Przemysłu ludowego na Tamce, Szkoły rysunkowej na Chmielnej 52, szkół rękodzielniczych miejskich, których okazy (zwłaszcza szkół żeńskich) zdobywają na wszystkich wystawach krajowych i zagranicznych tak wielkie powodzenie, już możnaby zgromadzić bardzo wiele wyrobów na wywóz. Dołączywszy do tego prywatne wytwórnie, postawione nieraz na bardzo wysokim poziomie, pobierawszy śliczne drobiazgi przemysłu ludowego z różnych stron Rzeczypospolitej, zdołalibyśmy zalać niemi wszystkie rynki Europy i Ameryki. Nim to nastąpi, zacznijmy od własnego, wewnętrznego eksportu i to zaraz — nie zwlekając.

W artykule „O program gospodarczy dla kobiet polskich“ (Bluszcz № 13 r. b.) proponuje p. H. C. utworzenie „Międzystowarzyszenia tej Rady Gospodarczej“, któraby zajęła się ułożeniem wytycznych twórczej pracy gospodarczej kobiet polskich. Myśl wsłaniała i należy wracać do niej ustawicznie, póki hasło nie stanie się czynem. „Stowarzyszenia kobiece są za słabe, by którekolwiek z nich poważny krok naprzód samoistnie w akcji gospodarczej postawić mogły. Wspólnymi siłami da się dokonać wiele“ — pisze p. H. C. Ujęcie w swoje ręce przemysłu zdobniczego, zorganizowanie rynków zbytu wewnętrznego i zewnętrznego, byłoby pierwszorzędem zadaniem tej Międz. Rady Gosp., co zresztą podnosi już i autorka artykułu. Jednak stworzenie takiej potężnej, rozległej widnokreśli obejmującej placówki, to rzecz nie tygodni, nie miesięcy. Przy wielkim wysiłku rzecz roku conajmniej. A chcąc zaopatrzyć zdrojowiska i letniska nasze w swoje wyroby, trzeba działać natychmiast. Sądząc, że

sprawę tę narazie mogłyby podjąć wykwalifikowane jednostki w porozumieniu ze wszystkimi organizacjami, popierającemi nasz przemysł ludowy i artystyczny, a przedewszystkiem z Wydziałem drobnego przemysłu przy Min. Handlu i Przemysłu.

Nazwijmy osoby te agentami, agentkami, czy komiwojażerami. To już nie gra roli. Musiałyby one zasługiwać na pełne zaufanie, mieć za sobą poręczenie ludzi znanych w społeczeństwie. Zadaniem ich — po zjednaniu sobie poparcia Lig. Związków, Kół, Patronatów i Wydziału drobnego przemysłu — byłoby wejście w porozumienie z właścicielami sklepów — a w pomniejszych zdrojowiskach czytelnik, gdzie prowadzona bywa sprzedaż „pamiątek“ — o ilość i jakość dostawy, warunki sprzedaży i t. p. — Ajenci i agentki musieliby zorganizować się w jakieś centrali, zapewniwszy sobie pewien kapitał na pierwsze potrzeby. W miarę sprzedaży napływałyby pieniądze, tak że przypuszczalnie ów kapitał zakładowy nie wymagałby sumy wyższej po nad parę tysięcy złotych. — Gdyby — przy naszej opieszałości do zbiorowego czynu, nie znaleźli się ludzie, pragnący zorganizować taką dorywczą, sezonową placówkę, któraby może czasami zdobyła trwałe podwaliny, to jeszcze pozostaje kolportaż na własną rękę. Uczniowie i uczennice szkół zdobniczych mogłyby wybrać z pośród siebie najzaufaniejszych kolegów i koleżanki, powierzyć im wyroby własne, złożyć się na koszt ich podróży, rozplanować ją dla każdego z nich i wyprawić z towarem. Zarządy zdrojowe z pewnością udzieliłyby im jak najżyczliwszego poparcia choćby ze względu na to, że wszystkie miejscowości kąpielowe zagraniczne szczerą się swoim drobnym przemysłem rodzimym, a kufry gości odjeżdżających wyładowane są różnemi „articles de pays“ i „Heimatsandenken“.

Jedną wszakże uwagę. Na pracę naszą zwykliśmy nakładać ceny odstraszające. Niech leży gdzieś w szafie haft, koronka, bałki i żółtkie. Niech tuła się po kątach misterna zabawka, lalka, nożyk, pudełko, ramka rzeźbiona. Aby nie sprzedawać ich za tanio, aby tylko nie spuścić nic z ceny oznaczonej. Na to nie pozwala honor twórcy.

Na wszystkich wystawach krajowych, zagranicznych, międzynarodowych okazy naszego przemysłu artystycznego budziły podziw zwiedzającej publiczności i hymny pochwalne krytyki. Jednak — wracały w kufrach, jak przyjechały, bo ceny okazywały się za wysokie. Tak było na wystawie bukarzeszteńskiej dwa czy trzy lata temu gdzie — mimo bardzo niebezpiecznego współzawodnictwa z wysoce artystycznym przemysłem ludowym rumuńskim, któremu patronuje królowa, damy dworu i żony ministrów, eksponaty nasze wywoływały zachwyt. Tak było niegdyś na wystawie w Pradze czeskiej. Tak — na ostatniej międzynarodowej wystawie w Paryżu, która przyniosła nam tyle pierwszorzędnych nagród.

Wyzbycie się przeceniania własnego dorobku, dążenie do prawidłowej sprężystej organizacji, na

punkcie której tak bardzo jesteśmy zadowoleni, pośpiech w działaniu, to są niezbędne warunki utrwalania wszelkich naszych poczynań. Spóźniamy się stale z wielką krzywdą dla siebie samych.

Przykład: W końcu czerwca ub. roku, gdy sezon druskienicki rozwinął się w całej pełni, nie można było dostać pocztówek z widokami prześlicznych zakątków zdrojo-wiska. „Dobrzy polacy“ kupowali bardzo brzydkie, jeszcze przedwojenne karty

z rosyjskimi napisami w sklepach żydowskich. Odchodził ten towar przez kilka tygodni, zanim ukazały się wysoce artystyczne zdjęcia T-wa „Ruch“.

Niechęć i nieufność do zbiorowego czynu, brak organizacji, manja spóźniania się niechżeż nie staną na drodze tym, którzy podejmą rozpowszechnianie drobnego przemysłu naszego w letniskach i uzdrowiskach krajowych.

C. W.

NOWE POLE PRACY I ZAROBKU



amnożyło się w Warszawie i po wszystkich innych miastach i miasteczkach t. zw. „salons de beauté“. Co drugi dom mieści się atelier „manicurzystki“, w którym ktoś udziela porad kosmetycznych. Skąd jednak prawo do wykonywania zabiegów, mających duży związek ze zdrowiem

ludzkim, do udzielania porad, które mogą przynieść szkodę organizmowi?

Zakłady te nie cieszą się też dobrą sławą, albowiem często, zbyt często, służą jedynie za pokrywkę dla zgoła innych procedurów.

A jednak, samo wyrastanie ich, jako grzybów po deszczu, świadczy o odczuwanej przez szerokie masy potrzebie staranniejszej dbałości o estetyczny wygląd i higieniczny rozwój ciała.

Wobec tego powitać należy z uznaniem inicjatywę powołania do życia Kursów Kosmetycznych, zatwierdzonych przez Ministerstwo Spraw Wewnętrznych, a kierowanych i prowadzonych przez fachowe siły lekarskie.

Kursy te powstały we wrześniu 1925 r. i przyciągnęły od razu znaczną liczbę zgłoszeń. Ze zgłaszających się wybrano 34 kandydatki i kandydatów, albowiem kurs jest mieszany.

Kurs trwa 8 miesięcy i kosztuje 400 zł. za całość. Wykłady i ćwiczenia praktyczne zajmują 2 godziny dziennie od 7-9, wieczorem. Kurs mieści się przy ul. Pięknej 62, w lokalu zakładu naukowego p. Rybińskiej. Wymagane od zapisujących się minimum wykształcenia 4 kl. szkoły średniej. Wiek od lat 18. Kurs kończy się 12 maja, poczem nastąpią egzaminy w obecności inspektora lekarskiego. Min. Spr. wewnętrznych oraz — rozdanie dyplomów. Wobec powodzenia pierwszego, otwarto kurs drugi, który trwać będzie od stycznia do sierpnia, i liczy z powodu braku miejsca tylko dwudziestu paru słuchaczy, poczem od września rozpocznie się nowa kampanja.

Charakterystycznym dla chwili bieżącej jest, że z innym zupełnie materiałem spodziewano się spotkać na kursach, a zgoła inny je wypełnił. Stawiając minimum wykształcenia 4 klasy, nie oczekiwano, że zgłosi się 8 studentek i studentów uniwersytetu, a pozatem żony wojskowych, inżynierów, byłe dziedziczki zaprzepaszczonych włości i t. d. To też najlepsza, salonowa francuzczyzna kwitnie podobno

na skromnych Kursach Kosmetycznych. Charakterystycznym również dla chwili, którą przeżywamy, jest fakt, że niektóre słuchaczki kursów, już dziś, pielęgnowaniem cudzych rąk, czyli t. zw. „manicurą“ (stanowczo wyraz ten jakimś polskim zastąpić trzeba), zarabiają do 300 zł. miesięcznie, operując prawie wyłącznie w sferze swoich znajomych.

Program Kursów obejmuje 4 zasadnicze przedmioty!

1) Wiadomości z fizyki w zastosowaniu do masażu. Wchodzi tu: ogólne pojęcie o elektryczności, elementarne wiadomości o fizjologicznym działaniu prądów. Elektryczny masaż, itd. itd.

2) Wiadomości o pierwszej pomocy w nieszczęśliwych wypadkach i nagłych zasłabnięciach.

Tu przechodzą słuchacze: o pochodzeniu uszkodzeń i różnych ich rodzajach, o okazaniu pierwszej pomocy, o obchodzeniu się z raną i pielęgnowaniu, antyseptyka i aseptyka, krwotoki i ich zatrzymanie, oparzenie, rodzaje oparzeń, utrata przytomności itd.

3) Wiadomość o pielęgnowaniu urody twarzy i ciała.

Ten dział jest oczywiście najszerzej ujęty. Wchodzi tu i masaż twarzy i pielęgnowanie włosów, rąk, nóg itd.

4) Wiadomości o chorobach skóry i zastosowaniu masażu przy nich.

Wykłada się: anatomję i fizjologję skóry, prawidła masażu itd.

Jak widać z powyższego program kursu pojęty jest wcale poważnie i zadaniem jego jest zastąpić w przyszłości niepowołane i nie rozumiejące, czem mogą zaszkodzić, a czem pomóc, właścicielki salonów kosmetycznych, siłami fachowemi i nie pozbawionemi gruntowniejszych pojęć z zakresu anatomji i fizjologii.

Wykłady na kursach prowadzi 4-ch lekarzy i 3 asystentki.

Co do zawodu kosmetyczki, czy manicurzystki, ma on tę zaletę, że nie usuwa kobiety z domu, że pozwala jej mieć pod swoim okiem i gospodarstwo i dzieci, daje przytem zupełną niezależność, no i narazie przynajmniej, wyjątkowo korzystny zarobek.

Wartoby podobne kursy założyć w miastach prowincjonalnych. Powinny pomyśleć o tem młode lekarki, wyspecjalizowane w kosmetyce.



HELENA BOGUSZEWSKA

PRACA „OD DOŁU“

Tak to powoli w codzienne, twarde życie, ponure od trosk, biedy, kłótni, nienawiści, zawiści, chorób, pijaństwa i najprzeróżniejszego zła o nieprzeliczonych formach, wnikają elementy lepsze, łagodzące tę twardość, zło i srogość.

Przynoszą ulgę w utrapieniach, pomoc w troskach, wskazują wyjście, i to nieraz łatwe wyjście tam, gdzie napozór żadnego wyjścia już nie było, gdzie ręce zupełnie bezradnie już opadały. Życie staje się lżejsze, barwniejsze, nabiera jakiegoś sensu, jakiegoś wdzięku.

Inna rzecz, gdy się ma do czynienia nie z codziennem życiem, udręczonem i zawałonem codziennymi troskami, tylko z wykojeniem, z wytrąceniem z codzienności przez jakieś specjalne nieszczęście, ciężką chorobę, przestępstwo, czy skutki przestępstwa

W takich wypadkach należy najpierw doprowadzić do zlikwidowania owego wykojenia, do powrotu do codzienności, i dopiero potem przebudować ową codzienność.

Naprzykład taka rzecz: wychodzi z więzienia ktoś, co odsiedział karę za kradzież. Niema środków do życia. Niema możliwości dostania pracy. Więc co ma ze sobą zrobić? Siłą rzeczy jest kandydatem na recydywistę. Ale oto, odrazu przy bramie więziennej, czeka nań taki pracownik społeczny¹⁾, informuje go, że tu a tu jest właśnie dom, w którym znajdzie się dla niego mieszkanie i utrzymanie, i gdzie będzie mógł pożyczyć sobie pieniędzy na pierwsze potrzeby, a odda, kiedy dostanie robotę. Prowadzi go do tego domu, instaluje, pomaga w wyszukaniu zajęcia.

I o dziwo, ci byli złodzieje zwracają zaciągnięte pożyczki tak skrupulatnie, że „Dom” prawie sam się utrzymuje, z niewielką pomocą ze strony Samorządu.

A ile państwo oszczędza na tem, że recydywiści nie zapełniają więzień?

Wychodzi z więzienia dziewczyna, która odsiadywała karę za dokonane, czy zamierzone zabójstwo nieślubnego swego dziecka. Kandydatka na złodziejkę i prostytutkę. Dokąd pójdzie? W domu nie przyjmą jej napewno.

Aż tu okazuje się, że przy więziennej bramie czekają rodzice, czy ciotka, zabierają ją do domu, mówią przyjaźnie i życzliwie.

To znowu robota pracownika społecznego. Przychodził do rodziny, gdy dziewczyna jeszcze była w więzieniu. Rozmawiał o całym tem zajściu; co się nie naperswadował, nie nagadał, zanim zdołał doprowadzić do tego, żeby przyjęli ją do domu i żeby zdołali wstrzymać się od wypominania win, od rozgrzebywania złej przeszłości. Zanim zrozumie, że tak będzie lepiej, że może się uda wszystko zacząć na nowo, że może wszystko się jeszcze jakoś ułożyć, utrże, zapomni.

Chorzy wypisują się ze szpitala. Niby to zdrów, ale słaby. Ledwie na nogach stoi. Leżał długo w sali szpitalnej, odzwyczaił się od gwarne go życia, od pracy, wszystko go przeraża, i wydaje mu się trudnym i ciężkim.

Nie ma rodziny, mieszka sam. Jak to on wróci do nieopalonego, niesprzątanego, przez cały czas jego nieobecności, pokoju?

Ale pracownik społeczny już wczoraj prosił w kancelarji Szpitala o klucz od jego mieszkania. A teraz czeka przy wyjściu, i odprowadza go do domu. Zasłane łóżko! Napalony piec! Czysto, ani śladu kurzu, obiad już czeka, taki lepszy obiad, jak dla rekonwalescenta. I tak aż do zupełnego wyzdrowienia, do nabrania sił.

I znowu rachunek wykazuje, że ta opieka społeczna nad ozdrowieńcem opłaca się gminie, bo zmniejsza częstość ponownych zasłabnięć i koszt utrzymania chorych w szpitalu.

Matki dowiadują się w Stacjach opieki nad niemowlętami, co robić z małymi dziećmi, jak zapobiegać chorobom, jak żywić je, kąpać, ubierać. Chorzy na gruźlicę dowiadują się w Poradniach, jak stworzyć warunki, zmierzające ku wyzdrowieniu i nie zarażać innych. Pielęgniarki, odwiedzające mieszkania zarejestrowanych, dają wskazówki, jak postępować w danych warunkach i wypadkach, stanowią stały łącznik między t. zw. Ośrodkiem Zdrowia, czy Poradnią²⁾, a mieszkaniem prywatnym, i podnoszą poziom życia pod względem czystości i higieny.

Robotnik, dostający płatny urlop, znajduje możliwość spędzenia go na zorganizowanej wycieczce w góry, czy nad morze, w towarzystwie inteligentnym i kulturalnym i wraca z takiej wycieczki odrodzony fizycznie i moralnie. Bez tej organizacji nie jeden taki urlop upłynąłby w szynkach, na bójkach i awanturach.

Wszystko to razem wzięte, cały ogrom tej „pracy społecznej”, powoli przenikając w różne dziedziny życia, rozszerza swój zakres i obejmuje coraz to nowe Różne zdobycze cywilizacji, kultury, oświaty, higieny, życia duchowego, stają się w ten sposób dostępne dla coraz to nowych warstw, warstw t. zw. najciemniejszych, o których do niedawna nikt jeszcze nie myślał, i których życiem nikt się nie zajmował.

I to może najważniejszym jest w tej pracy, że otwiera ona dostęp wszystkim do tych dóbr, z których dawniej tylko uprzywilejowani mogli korzystać. Dąży do tego, żeby każdy, ale to każdy mógł się uczyć, słuchać odczytów, muzyki, dowiadywać się, co się dzieje na świecie, oglądać piękne rzeczy, czytać dobre książki, żyć w możliwie dobrych warunkach, higienicznych, leczyć się, kąpać, rozwijać zdolności, zaspakajać duchowe potrzeby, doskonalić. Zdobycze nauki, sztuki, nawet techniki, przestawszy być własnością uprzywilejowanych warstw, stają się własnością wszystkich, co zapewnia im trwałość, ciągłość, bezpieczeństwo.

W tym duchu pracują, do tego celu zdążają działacze społeczni wszelkiego rodzaju. Skuteczność ich pracy zależy od wielu rzeczy: od warunków, w jakich się odbywa, od znajomości terenu, od zdolności poznania się na ludziach i postępowania z nimi, od wytrwałości, i wreszcie, a może przede wszystkim, od przygotowania.

Tak. Od przygotowania, które niejednokrotnie zamyka w sobie wszystko powyższe.

¹⁾ Auxiliareń social. Rzecz dzieje się, niestety w Belgii a nie w Polsce.

²⁾ Warszawa, Stacje opieki nad niemowlętami. Ośrodek zdrowia, Puławska 61.

Bo pomyśleć tylko, z jakimi trudnościami boryka się pełen dobrej woli, o idanią, zapału, nauczyciel ludowy, chcąc założyć przy swej szkole bibliotekę, czy wypożyczalnię, a nie znając najprostszej techniki katalogowania, kontroli itd? Ileż odkryć rzeczy dawno odkrytych i wprowadzonych w życie musi zrobić, zanim dojdzie do punktu, od którego powinien zacząć! Ileż omyłek, błędów, popełnia działacz samorządowy przez niezajomość ustaw i przysługujących mu praw, przez niedopatrzenie rzeczy, które same się proszą, żeby je wprowadzić, a uparte wprowadzanie takich, które na tym terenie nie mają warunków rozwoju.

Ile zła wyrządza pielęgniarka, która zamiast wnosić otuchę i pomoc, zaczyna od słów: „czy tu mieszka ten chory na suchoty, który wszystkich zaraża“ i doprowadza do tego, że chory, wyrzucony z mieszkania, przeklina chwilę, w której się zgłosił do poradni. Ile pracy, trudu, pieniędzy, nadziei poszło na marne w nieumiejętnie zorganizowanych i prowadzonych współdzielniach!

Zrozumiały to już kraje Zachodniej Europy i uczyniły wiele, jeśli nie wszystko, żeby z tej dyletanckiej, na intuicji i dobrej woli opartej pracy, uczynić pracę zawodową, opartą na podstawach naukowych. Żeby odkrycia i próby zamienić na zwykłą znajomość rzeczy. Żeby twórczość działaczy skierować na tory prawdziwych „odkryć“, a nie tych dawno już odkrytych i stosowanych.

We Francji, Szwajcarii, Niemczech oddawna już istnieją Szkoły pracy Społecznej. W Belgji, tem „laboratorium społecznem“, Centralna Szkoła służby społecznej, założona w r. 1920³⁾ jest instytucją napół państwową. Ona to właśnie kształci tych pomocników społecznych (auxiliaires sociales).

W Polsce pierwszą taką Szkołą jest założone w 1925 r. przy poparciu Min. Pracy i Opieki Społecznej Studium Pracy Społeczno - Oświatowej⁴⁾, przygotowujące nauczycieli dla dorosłych, instruktorów oświatowych, współdzielczych, samorządowych, bibliotekarzy i wszelkich organizatorów życia kulturalnego.

Jest to szkoła, która nie naucza o życiu, tylko uczy samego życia, chwyta je na gorąco w najistotniejszych przejawach.

Jak się to robi? spytacie.

Zwiedza się różne instytucje społeczne, pracuje się w nich, bada potrzeby, jakie je wywołały, warunki, w jakich się rozwijają. Zaznajamia się z tradycjami tych prac, z dorobkiem polskim i obcym. Uczy się techniki roboty społecznej w różnych dziedzinach.

I dopiero z tego żywego, płynnego materiału wyprowadza się wnioski, wytwarza teorie.

Nietrudno to przychodzi, gdyż słuchaczami są wyłącznie tacy, którzy, poza wymaganym cenzusem naukowym mają za sobą kilka lat pracy społecznej i dla których szkoła ta nie jest przygotowaniem do życia, tylko usystematyzowaniem, pogłębieniem i udoskonaleniem w metodzie pracy, z którą się już poprzednio zetknęli i zapoznali.

Pochodzą z różnych stron, pracowali w różnych instytucjach o różnych światopoglądach, łączy ich jednak wspólne wszystkim poczucie, że tylko ta społeczna praca „od dołu“ może dźwignąć wzwyż ogólny poziom życia.

³⁾ Ecole Centrale de service social. Bruksela rue du Grand Cerf 12.

⁴⁾ Warszawa, Wolna Wszechnica Polska, Śniadeckich 8.

WĘZŁY GORDYJSKIE W PRAWIE MAŁŻEŃSKIM



prawo małżeńskie interesuje, zwłaszcza obecnie, wszystkich bardzo żywo. Interesuje nawet tych, którzy zgodnie z kościołem katolickim i uświęconymi tradycjami stoją na stanowisku nierozzerwalności małżeństw. Jednak ogół nie zdaje sobie z tego sprawy, ile tu trudności jest już dziś

przeżytkiem prawnym, niezależnie od takiego czy innego sposobu patrzenia na sprawy zasadnicze, jak np. dopuszczalność lub niedopuszczalność rozwodów. Faktem jest, że w jednych krajach rozwody są, w innych ich niema. Ba! w jednych dzielnicach Polski już obecnie są, w innych nie, lub częściowo nie.

A z tego wynikają sytuacje absurdalne, sytuacje prawne tak poplątane, że niczem wobec nich węzeł gordyjski, że dopraszają się królewskiego cięcia mieczem Aleksandra Wielkiego.

Dwa ciekawe przykłady zilustrują nam dobrze, o co mi chodzi.

Jest sobie pan A., inżynier, od szeregu lat mieszkający stale w Poznańskim, a więc w dzielnicy, gdzie obowiązuje dawne prawo niemieckie. Pan A. jest katolikiem, wolnym, t. zn. że nie zaznał dotych-

czas dobrodziejstw stanu małżeńskiego i właśnie pragnie kawalerstwu swojemu położyć koniec. Narzeczoną jest pani N., obywatelka węgierska, także katoliczka i obecnie wolna, mianowicie rozwiedziona. Pani N. za pierwszym razem była zamężna za obywatelem węgierskim, ale uzyskała prawny i ważny rozwód i według praw węgierskich nic jej nie przeszkadza wejść ponownie w związki małżeńskie.

Tak więc, na prosty rozum, chyba trudności żadnych być nie powinno?

Dodajmy, że narzeczeni zamierzają wziąć ślub cywilny we Włoszech, gdzie taka właśnie forma ślubu obowiązuje. Wyjeżdżają więc i zgłaszają się z wszelkimi dokumentami do urzędnika stanu cywilnego... Tenże urzędnik, idąc za przepisami, które go zobowiązują, domaga się od obojga — zaświadczenia, że związkowi ich nic nie ma do zarzucenia ani prawo polskie, ani prawo węgierskie, i że małżeństwo to będzie zarówno w Polsce, jak na Węgrzech uznane za ważne. Pan młody zwraca się do Konsulatu polskiego w Trieście i otrzymuje takie zaświadczenie. Albowiem Konsulat uważa pana A., jako stałego mieszkańca byłej dzielnicy niemieckiej, za podlegającego [obowiązującemu] tu prawu [niemieckiemu,

a istotnie ze stanowiska tego prawa nie może być mowy o żadnej przeszkodzie.

Pani N. zwraca się do władz węgierskich; jak wiemy, wobec prawa węgierskiego jest w najzupełniejszym porządku, mimo że jest rozwódką. Aliści urzędnik węgierski oświadcza, że nie prędzej wyda żądane zaświadczenie, aż mu pani N. nie okaże opinii polskiego Ministerjum Sprawiedliwości, że istotnie według prawa polskiego, to małżeństwo jest dopuszczalne, że mu w drogę nie wchodzi t. zw. „przeszkoda katolicyzmu“.

Cóż to jest takiego „przeszkoda katolicyzmu“? co to obchodzi urzędnika węgierskiego? i dlaczego się tem nie martwił Konsul polski w Trieście?

Oto szereg pytań, które nam zaraz plastycznie zademonstrują, jak ze sprawy, zdawałoby się, jasnej i prostej, gdy się w nią wmixsza „prawo małżeńskie“, może się zrobić ciemna i tak pokręcona, że niewiadomo, jak ją zpowrotem wyprostować.

„Przeszkoda katolicyzmu“ jest właściwością dawnego prawa austriackiego¹⁾, które do dziś dnia obowiązuje jeszcze w byłej dzielnicy austriackiej. Polega ona na tem, że osobie wyznania katolickiego, która raz w życiu była związana małżeństwem z osobą należącą do innego wyznania chrześcijańskiego, lecz niekatolickiego, — nie wolno zawierać innego małżeństwa za życia drugiego małżonka, nawet gdyby to pierwsze małżeństwo zostało najformalniej w świecie i wedle wszelkich reguł prawa rozwiązane. Powstać więc może po rozwiązaniu (czyli po rozwodzie) małżeństwa sytuacja taka, że jedną stronę prawo uważa za całkiem wolną, mianowicie stronę akatolicką, i tej wolno znowu się żenić, lub wychodzić zamaż, a drugą stronę, stronę katolicką, uważa za niewolną, i tej się żenić lub zamaż wychodzić niewolno. Co do niej prawo to uważa, że małżeństwo pierwsze istnieje, podczas gdy co do pierwszej uważa jednocześnie to samo małżeństwo za rozwiązane!

Ten niezwykły dziwoląg prawny pociąga za sobą całkiem realne, dające się namacalnie we znaki konsekwencje.

Mianowicie obywatelowi, który temu prawu podlega, — a podlegają mu wszyscy obywatele polscy, pochodzący z terytorjum dawniej austriackiego — nie wolno wchodzić w związki małżeńskie z osobą wyznania katolickiego, w opisanych wyżej warunkach rozwiedziona!...

I to właśnie miał na myśli ów aż do zbytku troskliwy urzędnik węgierski.

Rozumował on tak: wprawdzie nasze prawo węgierskie pozwala pani N., rozwiedzionej obywatelce węgierskiej, wyjść zamaż, ale jeśli tym mężem ma być polak-katolik, — czy małżeństwo takie nie byłoby przypadkiem uważane w Polsce za nieważne?

Byłoby tak istotnie, gdyby pan inżynier A. podlegał prawu małopolskiemu.

Trzeba więc i nad tem się zastanowić.

Tu obiema nogami wpadamy naraz w inny znowu kompleks zagadnień: w dziedzinie przeszłości, polegające na tem, że na terytorjum państwowem Polski istnieje dotychczas nie mniej, jak pięć odrębnych ustawodawstw dzielnicowych²⁾ i że w poszczególnych kwestjach trzeba się decydować, które z tych ustawodawstw ma być zastosowane!

To dopiero *embarras de richesses!* prawda?..

Otóż w t. zw. prawie międzynarodowem prywatnem powszechnie przyjętą zasadą rozwiązywania tego konfliktu praw jest zasada „statutów personalnych“, o ile chodzi o stosunki osobiste t. j. m. inn. o wszystko, co dotyczy zdolności do zawarcia mał-

żeństwa, zdolności do działań prawnych, pełnoletniości i t. p. Te wszystkie stosunki prawne poddaje się prawu państwa, którego obywatelem jest dana jednostka, niezależnie od tego, gdzie, w jakim państwie wypadnie jej stosunki te realizować. — W zastosowaniu do sytuacji prawnej w Polsce, w obrębie terytorjum państwa, powyższa zasada „statutów personalnych“ przybiera w sposób coraz bardziej zdecydowany tę postać, że do owych stosunków najściślej osobistych stosuje się prawo tego miejsca, gdzie dany obywatel polski stale i conajmniej od paru lat mieszka³⁾.

Jakże więc rzecz się ma z naszym inżynierem A.?

Gdybyśmy byli zmuszeni zastosować prawo małopolskie, małżeństwo pana A. byłoby z kretesem pogrzebane, bo trzeba by było odmówić mu zaświadczenia żądanego.

Na szczęście, jak wspomnieliśmy na początku, pan A. mieszka stale w Poznańskim, gdzie „przeszkoda katolicyzmu“ nie jest znana, gdzie — przeciwnie prawo dopuszcza rozwody wszelkich małżeństw, niezależnie od wyznania. „Statuty personalne“ więc, tym razem, nie psują sprawy.

Pan A. może się żenić z osobą, którą wybrał. Konsul Polski w Trieście przecież miał rację.

* * *

Ale te „statuty personalne“ nie zawsze są takie łaskawe. Czasami płatają figle niemiłosierne.

Posłuchajmy przykładu innego. Znow obywatelka węgierska pani M., tym razem ewangeliczka; już pierwszym jej mężem był polak katolik; małżonkowie mieszkali na Węgrzech, widocznie jednak małżeństwo nie było szczęśliwe, bo się na Węgrzech sądownie rozwiodło, i — znow wobec prawa węgierskiego oboje małżonkowie są obecnie ludźmi niczem nieskrępowanymi; wolno im — każdemu z osobna, wchodzić w nowe związki małżeńskie, w związki ważne.

Traf chciał, że także i drugiego męża pani M. wyszukała sobie wśród obywateli polskich. Jest nim pan B., wyższy urzędnik administracji kresowej, na Kresach zamieszkały. — Państwo M. i B. chcą wziąć ślub cywilny na Węgrzech, ale muszą się wykazać, każde z osobna, zaświadczeniem władz swego państwa, że ślubowi temu nic nie stoi na przeszkodzie.

Zatem władze polskie muszą sobie zadać pytania: czy małżeństwo to może być w Polsce uznane za ważne? Czy pani M., według polskiego prawa, może uchodzić za osobę wolną? Czy jej rozwód można w Polsce uznać? Jakiem prawem mamy się tu kierować, polskiem, czy węgierskiem?

Oto znow konflikt dwóch ustawodawstw, tym razem już nie ustawodawstw dzielnicowych, wewnętrznych polskich, ale ustawodawstw dwóch różnych państw. Znow teoria „statutów“ musi nas z tego zaułka prawnego wyprowadzić.

Pierwszy mąż pani M. był, jak wspomnieliśmy, obywatelem polskim, katolikiem. Wskutek tego i pani M., wyszedłszy za niego zamaż, nabyła obywatelstwo polskie, tak bowiem postanawia prawo, — i roz-

¹⁾ Wprowadzona została dekretami cesarskimi z r. 1814 i 1835; innym ustawodawstwem, nawet prawu małżeńskiemu Kongresówki z r. 1836, nie jest znana.

²⁾ Buł. Królestwa Polskiego (Kongresówki), dawne rosyjskie (na Kresach), dawne austriackie (w był. Galicji i w Cieszyńskim), dawne niemieckie (w byłym zaborze niemieckim), wreszcie węgierskie prawo — na Spiszu i Orawie!!

³⁾ Coprawda nie można twierdzić, aby ta interpretacja już w tej chwili zwyciężyła na całej linii. — Ale w subtelności trudno się tu zapuszczać.

wód jej, według teorii statutów, musi być oceniany ze stanowiska prawa polskiego. Prawo polskie rozstrzyga, czy ten rozwód był dopuszczalny i czy jest ważny w Polsce. Ba!.. nie tylko o dopuszczalności rozwodu to właśnie prawo ma decydować, ale ono narzuca w tym wypadku wyłączną właściwość czyli kompetencję sądów polskich do sądenia sprawy rozwodowej! Prawo polskie nie uznaje bowiem w takich wypadkach wyroków sądów węgierskich, nawet gdyby te wyroki orzekły o rozwiązaniu małżeństwa w takim razie, w którym i prawo polskie do rozwodu — by dopuściło!

Innymi słowy: gdy chodzi o „statuty personalne“ obywateli polskich, prawo polskie jest ekskluzywne, nie pozwala o nich rozstrzygać innym sądom, jak polskie, ani według innych norm prawnych, aniżeli polskie.

Tak jest przynajmniej w tej chwili.

„Dura lex, sed lex!“ powiada przysłowie łacińskie: twarde prawo, ale... prawo! Niema rady. — Rozwód pierwszego małżeństwa pani M. z obywatelem polskim niema więc w Polsce żadnego znaczenia. Pani M. musi tu w dalszym ciągu uchodzić za osobę zamężną, dopóki jej pierwszy mąż żyje, — a w konsekwencji nie może zawrzeć innego małżeństwa, boby! popełniła, — nb. tylko w Polsce — bigamję!.. I toby dopiero był bigos!..

Państwo M. i B. nie mogą więc otrzymać zaświadczenia, którego od nich zażądał węgierski urzędnik stanu cywilnego.

Cóż uczynią?.. Zapewne będą szukali innego sposobu obejścia prawa. Wiadomo bowiem: przeszkodę, której nie można wziąć, obchodzi się, lub przeskakuje.

* * *

Jeśli teraz odwróciwszy się, raz jeszcze z pewnej perspektywy spojrzymy na opowiedziane wyżej przykłady, — nie możemy się obronić refleksji, że tu wśród stosunków życiowo najzupełniej prostych, wyrosły, dzięki wielu przyczynom, całe góry niezrozumiałych, abstrakcyjnych trudności.

Bo, zważmy: jeślibyśmy tak przed temi pytaniami postawili człowieka, któremu teorie „statutów“ nie przewróciły w głowie i nie przeszkadzają jeszcze myśleć w sposób prosty, a rozsądny, czy przyjdzie mu na myśl uważać panie N. lub M. za osoby niewolne, za osoby, wlokące, jak kamień u nogi, wciąż za sobą dawniejsze małżeństwo, gdy w ojczyźnie tych osób małżeństwo to dawno przestało istnieć wobec prawa, gdy nikt, w życiu realnym, nie wyłącza ich pierwszych mężów, nie uważa ich więcej za osoby zamężne, gdy ci ich pierwsi mężowie dawno już pożenili się ponownie?!

Nie chciałbym być źle zrozumiany.

Tutaj kwestją jest nie to, czy powinno być wolno się rozwodzić, czy nie. Tu mamy do czynienia z osobami, których rozwód jest faktem dokonany; wszystko jedno, jaką temu faktowi przypiszemy wartość moralną: ujemną, czy dodatnią. Chodzi o zupełnie co innego. Chodzi o to, aby znaleźć wyjście ze sytuacji niezmiernie skomplikowanych, które wynikają z istnienia w różnych krajach różnego prawa małżeńskiego, to znaczy różnego, czasem wręcz przeciwnego traktowania tych spraw, a więc: ślubów, przeskód małżeńskich, rozwodów i t. d.

Bez zamiaru zadawania gwałtu tendencjom prawodawczym w poszczególnych krajach, prawodawstwo międzynarodowe dąży jednak do tego, aby ściśle określić warunki, wśród których małżeństwo, czy rozwód, udzielone w jednym kraju, miałyby ważność powszechną, obowiązującą także gdzieindziej, — lub tej ważności by nie miały.

To jest celem prawa międzynarodowego prywatnego. Cel ten znajduje wyraz w Konwencjach międzynarodowych. Z nich najważniejsze są Konwencje, zawarte w pierwszym dziesięcioleciu tego stulecia w Hadze.

W Polsce zapobiegnie opisanym wyżej trudnościom ustawa „O prawie prywatnem międzynarodowem i międzydzielnicowem“, która niebawem ujrzy światło dzienne, uprzedzając temsamem przyszłe jednolite polskie prawo małżeńskie, a poczęści torując temu prawu drogę.

Prawn.k.

RÓŻA TAJEMNICZA

W poezji celtyckiej róża jest ulubionym symbolem, który oznacza, wedle okoliczności, Miłość, Piękno, a nawet Irlandję, zwaną w pieśniach ludowych Czarną Różą, Rosin Dhu, dark Rosa leen.

Opowiadania, które ukazały się w najnowszym tomie biblioteki Laureatów Nobla¹⁾ są, jak pięknie pisze tłumacz, „przepojone zapachem i barwami tego mistycznego kwiatu“. Pisane prozą, tchną jednak czarem poezji.

Wielki przodownik Renesansu celtyckiego, William Butler Yeats²⁾, mało jest znany u nas. Z przykrością stwierdza to tłumacz.

Trzeba jednak zaznaczyć, że jego „Księżniczka Kasia“, drukowana w Chimerze w przekładzie Kasprowicza, wzbudziła zachwyt w miłośnikach legendy.

Nie weszła jednak w repertuar scen naszych mimo, że jest to clo u Narodowego teatru w Dublinie.

Nie znamy wcale ślicznego „Kraju serdecznych marzeń“ tragicznej „Deizdre“ (Izoldy celtyckiej), wzruszającej „Kathleen - ni - Houligan“, symbolu wdo-

wiej ojczyzny“, którą, przed śmiercią samą, marzyła odtworzyć wielka Duse.

Liryka Yeatsa to dla nas prawie zupełnie terra incognita³⁾.

Nie dziwny się zbytnio, wszak niedawno Yeatsa zaczęli odkrywać Francuzi, pobratymcy rodowi.

Młoda Francuska, która nawiązała serdeczne stosunki z „kuzynami“ z za morza, p. Simona Tery, barwnie opisuje swoją wizytę w domu poety, maluje jego zagadkową, potężnie wyrzeźbioną twarz, nos orli, włosy siwe wtył odrzucone, oczy przedziwne, patrzące z pod spuszczonej powiek, jak płomień wśród mgły. Twarz Maga i Druida.

Mineły czasy, gdy złośliwy kolega George Moore przyrównywał chudego ekscentrycznego młoko-

¹⁾ Biblioteka Laureatów Nobla tom 41, W. B. Yeats. Opowiadania o Hanrahanie Rudym, Róża tajemnicza i Rosa alchemica, autoryzowany przekład Józefa Birkenmajera. Lwów - Poznań 1926. Nakładem Wydawnictwa Polskiego.

²⁾ Wymawiaj Its.

³⁾ Patrz „Wyspa Bardów“ Bluszcz Nr. 13.

sa do przewróconego szpicem do góry parasola. Rewolucyjny student, który wraz z artystką Maud Gonno przybrał cały Dublin czarnymi cherałkami na przyjazd Babci Wiktorji, zuchwały autor, gorszący klerykałów swego kraju, dziś jest czcigodnym senatorem, otoczonym aureolą sławy. Cichy, zatopiony w swych snach, woli rozmawiać z duchami, niż z ludźmi. Głęboko wierzy w teorie okultystyczne. Oddawna już zasadniczym tonem jego poezji była: „walka pierwiastka duchowego z porządkiem przyrodzonym“, (przedmowa do *Róży*).

Kult bohatera przewija się przez całą jego twórczość. Od legendarnego króla Couhoulaina i jego witezi, srogich dla wroga, a rycerskich w obec kobiety, choćby to była stara żebraczka, od księżniczki Kasi, która zaprzeda duszę diabłu, aby uratować dusze biedaków, ginących z głodu (Djabeł oszukał się na tym pakcie, gdyż Marja zabrała czystą duszę Kasię do nieba), aż do skromnych bohaterów dni dzisiejszych, Pearse'a i Conolly'ego⁴⁾, co „utoczą z serca krwi czerwonej, by podlać więdnącą Różę.“

Piewca heroizmu jest również piewcą miłości. Ale nie tej miłości zmysłowej, która każe Ronsardowi, „rwać róże życia“.

Miłość u Yeatsa to potęga kosmiczna.

Miłość to marzenie, ale czyż marzenie nie jest czemś realniejszym od życia?

....Nie masz prawdy innej
Jak w sercu twojem, próżno pytasz rady
U mądrych ludzi, co bieg gwiazd poznali,
Ich serca zatrul chłód poświęty bladej,
Iż raczej podnieś rzuconą od fali
Muszlę, co echo w łonie swoim chowa
I jej się poskarz, bo prawdą są słowa,
Śpiewaj, bo prawdą pieśń się twoje żali,
Gdy ziemia stara snów się już wyrzeka,
Ty w przekór wszystkim dumkę snuj młodzieńczą.

Piękne są maki, co ci czoło wieńcza
Snij, we śnie prawda jest..
(Pieśń szczęśliwego pasterza).

Czyż to nie parafraza naszego romantycznego wiersza;

Tyle życia, ile w pieśni
Tyle szczęścia, co człek prześni?

W małym zbiorze powieści, ukazujących się dziś w polskim tłumaczeniu, znajdzie czytelnik polski owe charakterystyczne cechy twórczości Yeats'a. Tłumacz z miłością dokonał swego dzieła, starając się misternym użyciem archaizmów i prozy ludowej oddać dziwny, niepodobny do innych po angielsku piszących autorów, styl poety.

Yeats, choć nie pisał po irlandzku, starał się z mowy angielskiej wykrzesać coś zgoła odrębnego; twierdził on, że „wiersze każdego poety powinny odbijać, jak w zwierciadle, barwy jego krajobrazu i klimat jego kraju“. I dopiął celu, stworzył styl własny, migotliwy, falujący, pełen nastrojów mglistego przedświt, jak niebo i morskie fale oblewające Zieloną Wyspę. Zaś ten wyrafinowany mistyk umiał też zaśpiewać na nutę ludową piosenkę najprostszą. Takie są pierwsze liryki, które siostry jego drukowały na ręcznej drukarence, na szarej bibule i sprzedawały „w jarmarcznym kramiku“, jak śpiewniczki starego „Skrzypka z Dooney“.

„Szczęśliwą może się mienić Irlandja — mówi słusznie p Tery — iż w chwili przełomowej mogła odnaleźć swą duszę w duszy poety wielkiej miary i przez lat dwadzieścia przeglądać się w tej duszy, jak w zwierciadle.“

Karolina Bielańska.

⁴⁾ Członkowie rządu powstańczego, rozstrzelani w Dublinie przez Anglików, w krwawą Wielkanoc 1916.

A. VARALDO.

„PORTA-FIOR“

— Mówi pan to poważnie?

— Z całą powagą, na jaką mnie stać w obliczu niewytłumaczalnego. Ostatecznie jest to teoria, jak każda inna, i mógłbym twierdzić, iż znalazłem ją w jakimś palimpseście, lub też otrzymałem w spadku od wuja - czarnoksiężnika, żem wreszcie nabył ją na wagę złotych cekinów. Pewnego pięknego poranka, zbliżywszy się, przy wejściu do katakumb, do kramu wędrownego handlarza starożytności, kupiłem za siedem lirów — przed wojną — latarkę z pierwszego wieku ery chrześcijańskiej. Po całodziennej przechadzce, znalazłem się zmęczony w zimnym i obcym numerze hotelowym, złożyłem na wolnej poławie wielkiego łoża swe szaty, położyłem się i zasnąłem. Latarka, zawinięta w jakąś przygodną gazetę, leżała tuż obok mnie w kieszeni ubrania. I oto teoria pełna treści i waloru: przyśniła mi się latarka...

Jakiś profesor (bez okularów) zainterpelował mnie żywo.

— Ujrzał pan scenę z pierwszego wieku?

— Męczeństwo jakiejś świętej? — zapytała z kolei pani domu?

— Świętej Agnieszki?

— Tualetę Messaliny?

Poprosiłem o chwilę ciszy.

— Nic z tego wszystkiego. Ujrzałem jakąś rudere

z cegieł poza Porta del Popolo, gdzie fabrykowano przedmioty starożytne dla turystów amerykańskich.

Rozległ się chór protestów.

— Powiedziałem państwu prawdę. Lecz czem przeczy ona wspomnianej teorii. Śniła mi się owa rudera, bowiem przedmiot był niewątpliwie sfałszowany, gdyby jednak był autentyczny, ujrzałbym może sceny ciekawe, w każdym zaś razie — historyczne. Wystarczy umieścić taką rzecz pod ręką, gdy się idzie spać, aby udzielił się fluid...

Tu odezwała się pni domu:

— Trzymam pana za słowo. Proszę dać mi solda.

— Na co? — zapytałem.

— Proszę o solda.

Podaliśmy monetę. Dama wstała i wyszła z pokoju, po chwili zaś wróciła, niosąc małe zawiniątko.

— Oto przedmiot autentyczny, który oddaję za solda. Nie oglądaj pan, uczynisz to przed pójściem spać. A jutro usłyszymy, co się panu śniło. Zgoda?

— Słowo honoru.

Poczem zasiedliśmy do pokera.

Rozbierając się, po powrocie do domu, uczulem pod palcami otrzymane zawiniątko, a uwolniwszy je z krępującego sznurka jedwabnego i welinu, ujrzałem przedmiot autentyczny. Było to coś

w rodzaju kielicha kwiatu — z metalowych płatków i listków — zakończonygo nóżką z masy perłowej oraz łańcuszkiem, choć rzeczy nie widziałem nigdy przedtem. poznałem w niej „porta-fior“ wenecki, używany do kwiatów w epoce dekadencji, kiedy to mężczyźni i kobiety wkładali na siebie wszystkie posiadane drobiazgi zbytłowne i cacka, zwyczajem ówczesnym, zdradzającym przewagę życia światowego nad domowym.

Pomyślałem: wiem już, co ujrze we śnie — widowisko w teatrze San Samuele, szaloną grę w jaskini hazardu, lub też lagunę i bal maskowy, albo jakąś historję dyplomatyczną. Z taką konkluzją położyłem się do łóżka, zagasiwszy światło.

Ostatnie spojrzenie, jakie uczyniłem, zasypiając, dotyczyło poświaty księżycowej, wnikającej do mego pokoju: było to zarazem pierwsze moje wrażenie w chwili przebudzenia. Tylko że jasność wydała mi się nieco inna, intensywniejsza.

Leżałem w kwadratowym łóżku, przykryty kołdrą z czerwonego adamaszku, tonąc w wielkich, puchowych poduszkach, nademną — pułap z czworokątnych kiesionów. Jałem rozglądać się dokoła, gdy nagle usłyszałem szybkie słowa:

— A śpiesz że się! Dalej, bo się spóźnimy!

Usiadłem na łóżku i ujrzałem osobę mówiącą. Była to postać kobieca, wysoka i wiotka, owinięta w domino barwy fioletowej i w takiejże masce, kryjącej jej oblicze. Uśmiech jeno na ustach przeczył rozkazującej minie głosu, a płomień oczu zdradzały, przez podłużnie wykrojone otwory, władczą rasę, przeciwko której walka byłaby daremna. A przecie, wskutek wrodzonej nieruchliwości, automatycznie próbowałem opierać się.

— Jestem zmęczony, śpiący...

— Zmęczony, śpiący? — powtórzył głos rozkazujący, a zarazem słodki. — Zmęczony po sześciu conajmniej godzinach odpoczynku i w dodatku na mojem posłaniu. Przecież już czwarta nad ranem!..

Delikatną rączką chwyciła moją dłoń, jak w kleszcze i pociągnęła tak gwałtownie, że, wstawszy, zachwiałem się z trudem zachowując równowagę. U nóg moich coś brzeknęło.

— Przy ostrogach? I tak położyłeś się spać, kawalerze? Każ sobie ściągnąć te siedmiomilowe buty, które nie pasują, jak mi się widzi, na bal maskowy, a przynieść natomiast szpade. O czwartej w nocy łatwiej o szpetną przygodę, niżli o grzeczny duser.

Po chwili znaleźliśmy się na podłużnym placu, który miał wygląd szerokiej ulicy. Nie zdając sobie sprawy z tego, co czynię, obejrzałem się i spostrzegłem, że wyszliśmy z uroczystej budowli, na której bramie widniał w świetle lampki oliwnej, napis: Hôtel de la Cloche. Nazwa ta nie była mi obca, — przypominałem ją sobie niejasno, — podobnie jak nie był mi obcy fragment starego grodu, przez który kroczyłem. Nagle pomiędzy dwoma wieżycami z prawej strony ukazał się księżyc, oświetlając na przeciwległym pałacu herb kamienny. Tak, owa tarcza o czterech polach ze złotemi liljami Francji i lwem pośrodku, na lewo zwróconym, dobrze mi wszak znana. Nie było wątpliwości: to herb Jana Burgundzkiego! Byłem więc w Dijon, stołecznej rezydencji Książąt Burgundji, tragicznego a nieposkromionego rodu lwiat: Filip Śmiały, Jan Beztrwogi, Karol Zuchwały...

— Szybko, biegnijmy, oczekują nas! — szepnęła moja piękna towarzyszka, przerywając ogarniające mnie zamyślenie.

Gdy mijaliśmy pałac książęcy, czarną masą odcinający się na tle nieba, ciszę nocną przerwał nagle zmieszany gwar, a garść ludzi z obnażonemi szpadami zastąpiła nam drogę.

— Nieba! To on! — wykrzyknęła głucho dama, przechylając się ku mnie całym swym ciężarem.

Sytuacja kłopotliwa i niebezpieczna — na pierwszy rzut oka. Po chwili refleksji uczułem się przecie niemal bez troski: kobieta napół zemdlona, zwieszona na mem ramieniu, to jak gdyby obrona, to prawie barykada. W ten sposób zabezpieczony narazie mogłem być roztropnie parlamentować.

— Hola, mój panowie, opuście owe szczyryki! Czego chcecie ode mnie?

— Przeklęty awanturniku italski, — odparł jeden z napastników, zapewne przywódca, bowiem trzymał się gwoli bezpieczeństwa z tyłu — czego chcemy od ciebie? Przewiercić ci łaskawie dziurkę w żołądku, by pozazdrościło ci jej okienko w wielkiej bramie Św. Eustachego! Porzuć ową damę, co tak się do ciebie przytula, a uczynię-ć, czerwiu z laguny, honor i skrzyżujemy żelaza.

Nie byłem nigdy, przyznaję, filarem szkoły szermierki; mam pewne obycie z piórem, lecz, gdy chodzi o szpadę, wiem to ledwo, że składa się z gardy i z klingi. Tu kończy się moja umiejętność. A przecie...! Odparłem, dźwiękiem własnych słów oszołomiony:

— Wystarczy mej prawicy, by walczyć z tobą, chłystku burgundzki, jeszcze zaś mogę doskonale trzymać tę damę, której nie odstąpiłbym ci za cały nawet koszyk złotych lilijek, jakie widzę na spencerach twych ludzi.

— Ach, włóczęgo!

— Ach, rogacz!

— Do mnie! Do mnie!

— Właśnie do ciebie!

Służba zniżyła zapalone pochodnie i znalazłem się oko w oko z szaleńcem o polśniewającej szpadzie. Rozprawa była krótka. Pełen zuchwalstwa i pogardy przwitałem go ciosem w twarz, poczem nadziałem, niby na rożen. Zwalił się, jak przedziurawiony wór. Nie będę opisywał, co zaszło dalej. Niebawem pozostałem sam na placu, zwycięzca pośród trupów i rannych. Dokoła mnie — cisza. Jeno drwiacy sierp księżycy przypatrywał się — jedyny świadek — zdarzonej przygodzie. Czas był wielki zająć się damą, która, nie bacząc na doznane wstrząsy, trwała wciąż w omdleniu. Podczas gdy szukałem wzrokiem wody, którą mógłbym spryskać delikatnie jej twarz, rozległ się przeraźliwy krzyk: ranny przewodca, moja pierwsza ofiara, uniósł się na łokciu i jęknął: „Bezwstydna!“ — wypalił z pistoletu do damy. A ona, utkwivszy we mnie zamglony wzrok, wyszeptwała: „Jakóbie! Jakóbie, miłości moja“ — i osunęła się bez życia na ziemię.

Gdy wszystko to opowiedział nazajutrz, pani dama zapętała, głęboko zdumiona:

— Istotnie śniło się to panu?

— Ależ tak! Sen, jak każdy inny, zresztą bez jakiegobądź związku z cackiem weneckiem.

— Sądzi pan? A jednak...

Zamyśliła się przez chwilę i dokończyła:

— Niech pan posłucha. Ow „porta-fior“ wenecki kupiłam w roku przeszłym w „Hôtel de la Cloche“ w Dijon...

— Co?!

— A sprzedawca oświadczył mi, że przedmiot pochodził z sukcesji po kawalerze Jakóbie Casanova di Seingalt.

Tłumaczył T. J.

JULIUSZ WIRSKI

SONATA

PRELUDJUM

Graj mi, — paluszków białe fillgony
 Niech wyczarują pieśń wieczornych zdarzeń—
 Melodję pełną dźwiękliwości szklanej...
 Cicho jest w chacie, zaś wicher jest na dworze,
 Więc graj — o, biała — zadumanie boże:
 Psalmodję marzeń...

...O tem, jak cicho więdną białe ostry
 Pod jesiennego nieba całowaniem,
 Jak dzikie wino czerwieni pilastry
 Świętyń umarłych — jak się wielkiem łkaniem
 Żegnają z ziemią klucze żurawiane
 Na piór tęsknocie swych rozkrzyżowane.
 I graj tak cicho, tak snem tylko grania
 Srebrne powierzchnie zamysłonych wód
 Odwieczers smutną mego miłowania
 Zaklętą w senny, koboldowy chód...
 Paluszki połóż na sercu co drga;—
 Niech gra...

I

Cisza jest w chacie zaś ogień w kominie,
 Po ścianach cienie pełgają od świec...
 I dłoń prześliczna błędzi po pianinie,
 Jak gdyby chciała coś śpiwnego rzec...
 Cisza jest w chacie, zasie wicher na dworze,
 Jesienny wicher, wieczny tułacz pól...
 A ty — grająca zadumanie boże
 Snem grania tulisz zabłąkany ból...
 Słyszysz?—Wiatr drzewa w starym sadzie szarpie...
 Wiatr, wieczny tułacz, siwe włosy rwie...
 I głową tłucze i na murów skarpie
 Krwawi w rozpacz sine pięści dwie!
 Powiedz! — nie będzie ten smętny włóczęga
 Jak nasza dola, jak nasz ludzki ból?
 Patrz! Drzewa zginą, chmur pięściami sięga
 I znów pierściami na pierś pada pól...

Pozwól — Pani słoneczna, niech okna otworzę;
 Niech na ścieżaj rozwałę srebrne kłamstwo szyb!
 Aby wszedł, z pól dalekich na nasze zaproże,
 By na chwilę poniechał żalobniczych styp...
 Niech nagi, z szat odarty stanie u komina,

Niech z wielkiem podnie łkaniem do kolan i nóg
 Bowiem słodką jest rzeczą, gdy się zapomina
 O przekleństwie błędzenia po przekleństwie dróg!

II

I będziemy we czworo: Ty, granie i wiatr
 I szaleństwo mej duszy niesyte cierpienia;
 A za oknem marsz głuchy niezliczonych kadr
 Młk człowieczych w jesiennym szale upojenia.
 Śmierć-kostucha, zatańczy wśród deszczowych smug
 Łąk wilgotnych królowna oknie się — Malarka!—
 Cierpienia poczną dusza orać, jako plóg
 Iżby baśnią nie była ludzkich dusz Kalwarja!...

Więc — graj!
 Duch ludzki między dwie wieczności
 Rzucony, niech zabłyśnie!
 Niech bezmiar przeszłości
 Rozelka się pod ręk twych bolesną pieczęcią,
 Zaś dzień Jutra idący niechoj dźwięczy rotą
 Przysięgi na potęgę! (Śmieszny ludzki sen!)
 To nic...
 Two oczy głębokie, bez den
 Wyśnią jedyną rzeczywistość świata —
 Wicher, który między wiecznościami lata
 I bije Ducha skrzydłem malowanym!
 Graj!
 Za oknami, po polu zoranem
 Tłuką się gwarnie tłumne stada wron.
 Zasię daleko, — bijąc w ciszy dzwon —
 Idzie po skibach wielki siewca ciszy—
 — Wieczysty Zgon —!
 Graj! — Bóg uśpiony może cię usłyszcy,
 Może Ci ześle swoje Archanioły,
 Może muzyką skruszony napoły
 Pokaże przyszłość, odemknie wrzeciędze,
 Gdzie Wielkie Światło rodzi jedną żądzę—
 Nieśmiertelności pełną—Żądzę Duchal
 Groj mękę naszą... Może Bóg wysłucha...

III

FINAŁ

Gdzie kwiatem szalały czereśnie dziś chadza nostalgia jesieni
 I włosy rozpuscita srebrzyste, utkane z powiewnych mgieł...
 Na sady, na rżvska umarte—gasnących słońc rzuca płomienie
 Jak spazmy światłości ostatnie, podzwonne jesiennych dzieł...
 Twe dłonie, tak twórcze i bojne dziś wyłkać li mogą tęsknotę
 Na strunach przedziwnych wspomnienia, co prawie stało się snem;
 Twe oczy, tak niegdyś promienne, straciły radosną poztotę
 W bolesnej, serdecznej zadumie nad życia Dobrem i Złem...
 A przeto nostalgia dziś błędzi gdzie kwiatem szalały czereśnie
 I serca szalały ze szczęścia — szczęściem nalane po brzeg...
 Na dusze zmęczone i smutne, męką dojrzałe przedwcześnie,
 Ponową cichutką i lekką, już pierwszy sypie się śnieg...



MAX DAUTHENDAY

W GODZINIE MYSZY

2

Małżonkowie postanowili zjeżdżać się w każde święto. Ponieważ jednak żona handlarza owoców w czasie świąt Bożego Narodzenia nie mogła opuścić sklepu, spodziewała się męża dopiero w wieczór sylwestrowski.

W pierwszych czasach rozłąki kupiec był tak zajęty organizowaniem nowego interesu, że nie myślał o żonie zarówno, jak o młodej dziewczynie, która w dalszym ciągu pilnowała po nocach jego sklepu.

Ale gdy nowa praca była w pełnym biegu, wspomnienia wróciły ze zdwojoną siłą, a zapachy owoców, które w sklepie rozsiewały słodycz, zwłaszcza w wieczornej godzinie, gdy zamykał sklep, po sprawdzeniu rachunków i mógł się oddać marzeniom. Stawał mu przed oczyma obraz młodej dziewczyny, czuł zapach jej ciała, jak wtedy, gdy w godzinie myszy czuwali razem w składzie.

Zauważył, że pamięta nawet poszczególne strofy poematów, które słyszał w ciszy nocnej, wśród koszu z owocami, poematów, które przenosiły go na nieznane wyspy, do nieznanych krajów, między nieznajome drzewa i obcych ludzi, których dziwna mowa, pełna tęsknych melodyj migotała niepokojąco, jak barwy południowych owoców, palących się, jak ognie bengalskie wśród białych, pustych ścian, żelaznych półek i surowej kasy.

Gdy udawał się na wyższe piętro do swego pokoju, gdzie mieszkał teraz sam, bez kobiety, szły za nim wonie południowych krain, czepiały się jego ubrania i przepelniały jego sny. A w snach tych nie obejmował swej żony, ale tulił do serca młodą dziewczynę, której drobne piersi pachniały, jak dwie, świeże kalwile.

Zwłaszcza w godzinie myszy leżał na łóżku, nie mogąc usnąć, z rękoma założonemi pod głowę i wyobrażał sobie swój sklep na prowincji, w którym paliła się gazowa lampa, a ona siedziała za ladą i czytała na głos ballady, przerywając co chwila czytanie, by z kijem rzucać się na chmary myszy, omijających skwapliwie dobrze im znane, poustawiane po kątach pułapki.

Czasem widział, gdy schylała się i poprawiała zatrząsk w pułapce, który sam opadł, a przytem czytała:

Rycerz z płonącym, jako płomień, sercem,
Przez lasy jechał siedem długich lat,—

Wreszcie rozkoszne te marzenia nie dawały mu spokoju nawet we śnie, a myślał, że siła tęsknoty mogłaby przyciągnąć ku niemu ukochaną, nie opuszczała go.

Postanowił wreszcie napisać do żony, że potrzebuje w sklepie pomocnicy, zwłaszcza, iż na długie godziny zmuszony jest zamykać sklep, w porze kiedy idzie po transport owoców, nadmienił wreszcie w owym liście, iż prosi o przysłanie mu ich krewnej.

Pisał w myśli ów list nieskończoną ilość razy, w nocy i w dzień. Gdziekolwiek szedł, gdziekolwiek przebywał, pisał go w swoich myślach.

Nie mógł się jednak zdecydować, aby wziąć pióro do ręki, otworzyć kałamarz, rozłożyć papier listowy. Wydawało mu się, że zdradzi swoją żonę, której poprzysiągł wierność, że zdradzi własne serce, które było czyste i szlachetne.

I tak pisał ten list tylko oczami, w powietrzu. Pisał go wieczorami, długimi godzinami po przejrzeniu rachunków, pod kolumnami cyfr, w które wpatrywał się tępym wzrokiem. Pisał go oczami, porażony w myślach, na deskach skrzynek z pomarańczami, które obracał w ręku, zamiast je postawić w kacie. Pisał ten list na białych, złotawych skórkach malinowych pomarańcz. Pisał go na białych, pustych ścianach swego sklepu i odczytywał go w ciągu dnia po sto razy, sypiąc owoc do torebek, które podawał paniom i młodym dziewczętom. Na rękach wszystkich kobiet, które wносиły z jego sklepu owoce, czytał ten list, który oczy pisały bez przerwy.

Ale tak, jak człowiek wystrzega się bosemi stopami przebiec przez ogień, lub gołe ręce włożyć w płomień, tak on wystrzegał się ręce zmusić do napisania listu, który wezwałby wyczekiwaną w tęsknocie dziewczynę.

Starał się w taki sposób ukoić nieco swoją tęsknotę miłosną, iż postępował tak, jakby żądze jego miały w niedalekim czasie być zaspokojone. Gdy miał chwilę czasu, szedł do sklepów i zakupywał meble do swego pokoju, których zresztą nie kupiłby nigdy dla siebie, a które ustawiał na powitanie tej, której nigdy jeszcze u siebie nie przyjmował. Kupił poduszki na kanapę, niepotrzebne wazon, w które powkładał bukiety kwiatów, pozwalał wędznąć im podobnie, jak godzinom swoich marzeń. Kupował romantyczne obrazki, które porozwieszał na białych ścianach, i książki z balladami i poematami, które poustawiał na półce. Kupił kieliszki do wina, porcelanową paterę do ciastek, kryształowy klosz do owoców i dużą, jedwabną kołdrę.

Kupił sobie oprócz tanich cygar, które palił codziennie, pudełko lepszych i droższych cygar hawańskich, które postanowił palić wtedy, gdy zjedzie gość upragniony.

Temu to i jeszcze innemu zakupowi starał się ostudzać gorączkę oczekiwania, która przepalała mu duszę i ciało, jak ogień niszczący.

Ale listu, który miał napisać, nie napisał.

Nieraz, gdy mu zapowiadano jakąś wizytę, zamierało w nim serce, bo sądził, że zobaczy za chwilę na progu swego mieszkania młodą dziewczynę, która przybiegała ku niemu na krzyk jego zamkniętego, milczącego serca.

W dzień Sylwestra przyjechała do niego, tak jak było umówione, żona, która nic nie podejrzewała.

Od czasu, gdy otworzył filję w mieście portowem, odwiedzała go po raz pierwszy. I gdy przywiózł ją z dworca i wprowadził do swego pokoju, w którym z sufitu zwieszała się różowa ampla, zaczyna kobiecina klasnęła ze zdumienia w ręce i zapomniawszy zdjąć płaszcz i kapelusz. Stała w miejscu i z zachwytem przyglądała się ślicznym wazonom z kwiatami, rzędom ładnie oprawnych książek na półce, romantycznym obrazkom porozwieszanym na ścianach, szklanemu kloszowi do owoców i paterze do ciast. A gdy wkońcu spojrzała na błyszczącą kołdrę jedwabną, leżącą na szerokiemi łóżku, oczy jej wypełniły się łzami, zarzuciła ręce na szyję męża i dziękowała mu, że tak ślicznie przygotował wszystko na jej przyjęcie.

Nic na to nie odpowiedział i uściśnął swoją żonę. Bo kiedy skupował te wszystkie przedmioty, aby przystroić niemi swój pokój, nigdy nie wyznawał sam przed sobą otwarcie, że robił to nie z myślą o żonie, ale z myślą o młodej dziewczynie.

Czynił to, jak lunatyk, zawieszony między snem, a jawą. I podczas gdy ścisnął swą żonę, którą kochał i której był wierny, wydało mu się zupełnie możliwym, że jedynie dla niej i dla siebie, na wieczór sylwestrowy, z taką serdeczną troską przystroił pokój.

Wieczorem małżonkowie udali się ze znajomymi do winiarni i tam pili wino, aż póki nie wybiła północ i nie rozpoczął się Nowy Rok. Pod wpływem bowli i ponczu kupiec był ożywiony i wesół, jakim go żona nigdy jeszcze nie widziała.

Gdy Nowy Rok powitano licznymi: „Prosi!” zapragnęła żona opuścić już hałaśliwe miejsce, gdzie spędzili wieczór i w ciszy miłego pokoju, tak miłośnie przystrojonego na jej przyjęcie, podziękować mężowi równie miłośnie za jego atencje.



Pociągnęła męża za rękaw, ale temu ani się śniło wracać już do domu, pił bez końca ze znajomymi i stawiał coraz to nowe butelki.

Lecz wśród wesółych gości znajdowały się jeszcze inne kobiety, które już pragnęły wracać do domu i porozumiawszy się między sobą, powstały jednocześnie z miejsca, włożyły kapelusze i płaszcze i gotowe do wyjścia stanęły wśród obłoków dymu tytoniowego przed swymi mężami, prosząc ich, by z nimi szli do domu.

Mężczyźni zgodzili się na to jednomyślnie.

Jedynie tylko kupiec owoców zaoponował przeciw przerywaniu miłej gawędy. Siedząc na krześle, oświadczył ze stanowczością, że nie wróci do siebie w godzinie myszy, bo straszyc tam będą duchy.

— Co za duchy? dopytywało się.

— Myszy i młode dziewczęta, wyrwało się podchmielonemu.

Mężczyźni roześmieli się i rzucili porozumiewawcze spojrzenia. Kobiety zachowały milczenie. (tłum. Z. Rabsha)

Z. REUTT-WITKOWSKA,

KRYSTYNA ROSSETTI

(1830 — 1894)

Trzeba żyć; trzeba żyć. — Któryś z krytyków Krystyny Rossetti twierdzi, że w przeciwieństwie do sławnej współczesnicy swej, Elżbiety Browning, jest kobietą — zadowoloną ze swej kobiecości, zrezygnowaną.

W wierszu Na modłę antyczną zupełnie jasno wyraża się owa kobieta w poecie, że pragnęłaby i pragnęła być mężczyzną, albo, raczej niżby jakkolwiek być pragnęła istotą, raczej pragnęłaby... nie być wcale. Ten sam motyw w wierszu Siostra Immurata: zamurowana ta... mniszka zdaje sobie sprawę, że mężczyzna „pracuje i myśli”, kobieta, przedewszystkiem czuje i oto, ponieważ jest kobietą — rada byłaby umrzeć, by ustało to przeświadczenie bolesne o „niemocy zapalów”, trwonieniu „siły na nic”.

Praca czucia, wczuwania się, przeżywania i przezwycięzania siebie — męczy, dręczy, nęka zwłaszcza owo słabsze narzędzie Ducha, gdy spodoba się Duchowi, który kędy chce, tchnie, wykonywać niem dzieło Swoje, mierząc, miarą boską, siły wedle dzieła, nie zaś pomniejszając dzieło wedle szczupłości sił. A któżby z robotników Pańskich wybranych pracy jakiej odstąpił, gdy jest mu przeznaczeniem: koniecznością wewnętrzną?

„Włosienicą przyrodziej nie ciało, lecz duszę”. — Ciągłe umartwienie wewnętrzne — przełamywanie woli własnej, pokorne dźwiganie krzyża świadomości swych nędz, — cała ta, rzetelnie zakonna praca duchowa — wyniszcza. Wyniszczały też Krystynę Ros-

setti okoliczności domowe. Były w domu ciężka choroba, niedostatek; tembardziej musiała wyciągać siły w pracy zarobkowej. Czyż dziw, że na tem tle, jako jeden z ulubionych tematów lirycznych, jawi się łaknienie, by nawiedził nas przyjaciel serdeczny i lekarz cierpiących: łaknienie snu.

„Przyjdź śnie, błogosławiony, pełny, doskonały: przyjdź, jeśli tak zapomnieć potrafię o wszystkim, zapomnieć o swem cielem, o duszy zapomnieć, zapomnieć, że jest życie długiem i trosk pełnem” — użala się. Bóg Miłości obiecuje cierpiącej — skoro czas przyjdzie — zamknąć jej oczy bolesne własnymi Rękoma, by „nie płakały więcej w długie, udęczone czuwania nocne, gdy światy wirują”. Może, i znów, zrozumie te udęczone wigilje chronicznie przepracowany neurastenik, co, zamiast spać po pracy, zatapia się we wszystkie, dniem zmierzchłe, cierpienia długich, dawnych i niedawnych dni — aż nawet gwiazdy — świadki na niebie mówią mu o torturze ciągłego trudu, nie zaś o ciągłych trudach Radości!

Obiecuje Pan przytułek na Sercu własnem, jako uczynił był niegdyś Janowi najbliższemu z uczniów. Wraca ten motyw ukojenia się rytmem Serca Bożego (Panie, ja czeka m...). „Zasnąć, dajcie mi zasnąć, bom chora od troski... maków przynieście kwiecia, nalanego senną śmiercią... Sen bez marzeń, lub którego marzenie „jest prawdy przedsmakiem” (Ninie pragną), sen, którego przebudzenie w Raju (Gdy serce smutne, tedy się użalę), sen, zamykający na wieki, tym razem, oczy, „znu-

żone czuwaniem“ (Spoczynek): Nakoniec sen! owa długo czekana radość. Wizja Okrętu Śpiących na falach groźnego morza (Sen na morzu). I wizja słodkiej Śmierci — Zbawicielki, która siedzi z zasłoną na twarzy w pośrodku cmentarzysk i pustyń próżności światowej. „Odsłoń twarz swą, o Śmierci, co Śmiercią nie jesteś!”

Czy mógłby kto zostać rzetelnym poetą bez wielkiej miłości i wielkiego bólu? Pytanie zdawien dawna jedną znajdowało odpowiedź. — Gdy o nazwisko chodzi — młody malarz, kolega brata, James Collinson, był tematem pierwszej miłości Krystyny. Ona to, podobno, odpowiedziała odmownie Collinson myśląc, że katolicyzm jego stoi na przeszkodzie małżeńskiemu związkowi, wrócił na łono anglikanizmu... ale na krótko. „Wolał wiarę katolicką od snu miłości” konkluduje autorka bardzo zresztą dobrego studjum o Krystynie Rossetti, Lucja Félix-Faure (Ames payennes, âmes chrétiennes). Trudno dociec. Wyczuwa się jednak, że istotnie, panna Rossetti musiała dostać kosza.

Są już takie serca, takie dole, które od t zw. miłości zawsze wezmą ciężki. O ile ci pechowcy są, szczęściem dla siebie, artystami, ból ujście znajduje w twórczości.

Zresztą co to jest miłość nieszczęśliwa? Chyba nie ta, która nie kończy się sakramentem. Zdaje się, że nieszczęściem rzetelnym jest tylko miłość niewzajemna: ponieważ godnością ludzką osoby niekochanej. Coby znaczyła ta prześliczna liryka:

Wzięłam swe serce w ręce,
 (O mój miły, mój miły).
 Rzekłam: niech umrę w ręce,
 Gdy szczęściem zajaśnieje
 Raz mię wysłuchaj przecie,
 (O mój miły, mój miły).
 Godniej milczeć kobiecie:
 Tyś winien mówić, nie ja.

Z. ZAWISZANKA

CÓRKA BOGA

13



óżnym wieczorem główna siła francuska zawracała do Blois, by stamtąd sprowadzić resztę zapasów dla obleżonych. I o tem nie uprzedzono zgóry Joanny; to też zmieszało ją teraz bardzo nagle rozłączenie z wojskiem, które pragnęła bezpośrednio rzucić na nieprzyjaciela. Wahała się długo, czy mu nie towarzyszyć — dopiero gorące nalegania Bastarda przekonały ją, że dalsza zwłoka w jej przybyciu mogłaby wywołać w Orleanie groźne rozruchy. Przydała tylko odchodzącym wszystkich księży, a nawet swego kapelana, by nadal wzywali do cnoty i modlitwy, podtrzymując ducha, którego ona wzbudziła. Sama zaś z Bastardem, La Hire'em i kilkuset rycerzami przepłynęła się przez rzekę i zanocewała u bram miasta, w Benilly, posiadłości jednego z bogatszych mieszczan.

Od samego rana tłumy ludu otoczyły dwór

Z „przyjaznym uśmiechem“ ów miły wziął serce do ręki, obejrzał starannie — odłożył; niechże sobie czeka pory żniw; tak ładnie śpiewają skowronki! Odłożył delikatnie. Ono, niemądre serce ludzkie, pękło.

Odtąd o chabry zbożowe nie dbało, ani śpiewało ze skowronkiem. „Biorę swe serce w ręce o mój Boże, mój Boże, złamane serce w ręce. Tyś widział — sądz mię, Panie! Piach zawiął nadziei słowo, o mój Boże, mój Boże: przed instancją surową czekam — niech sąd się stanie“.

Miłość Boża przygarnia, doskonali to, czem ludzka miłość wzgardziła. „Wszystko, co mam, przynoszę, wszystko, czem jestem, daję“.

W obliczu Boga odzyskało serce śpiewanie i godność. — Coby też znaczył w innym wierszu (Wzgardzone, odrzucone) sam Chrystus, pukający do wrót duszy, która zamknąć się chce z całą swą oychą człowieczą, śmiertelną, w swej urażonej „godności“.

Bóg pr si, Bóg płacze. Dusza zawzięła się w swoim bólu. W godzinę przedświtą odchodzi Pan, smutny, pogłos kroków brzmi, jakoby westchnienie... Rankiem widnieją na trawie, u okienka, ślady krwawych Stóp; na drzwiach ślad Krwi legł Krzyżem po po wiek wieków.

Znów ten - niestrawny dla wielu — motyw Oblubienicy Chrystusowej. Gdy uczucie mężczyzny wyprowadzi w pole kobieta, ów zaś zostanie księdzem, czy zakonikiem, rzecz jasna: zdziwaczał, biedaczysko! surowo zato kokietkę osądzi. Gdy, przypadkiem, mężczyzna sponiewiera uczucie kobiety, wywiązuje się u niej, wedle tych samych ekspertów — zboczenie, bigoterja na tle erotycznym.

W niezbyt udatnej baśni o podróży księcia (The prince's progress) tę samą spotykamy oblubienicę ziemską, której serce zamiera, oblubieniec zaś każe czekać. „Serce, co rwie się za trochą miłości“ krzepią też w innym wierszu (L. E. L.) aniołowie Pańscy na owo Życie, z śmierci zrodzone, które Miłością Wieczną odplaci doczesne posuchy.

(c. d. n.)

podmiejski, chciwe widoku Dziewicy. Niewiadomo na czem jej zeszedł ten dzień cały — spoczywała może? — bo dopiero o 8 wieczór, 29-go kwietnia, odbył się uroczysty wjazd do miasta.

Obok niej jechał Bastard Jan, młody, urodziwy, waleczny syn księcia — lecz oczy nieprzeliczonych tłumów widziały tylko ją, wieśniaczkę, od Boga zesłaną. Całe miasto wyległo na ulice, rozjaśnione tańczącymi płomieniami tysięcy, tysięcy pochodni, całe miasto trzęsło się długo w noc od grzmotu radosnych okrzyków. Tłoczono się, by całować ręce i nogi Joanny, a choćby dotknąć na chwilę jej zbroi, ostróg, konia... Matki podnosiły wysoko drobne dzieci, by im ukazać Oswobodzicielkę. Stare mury tętniły jej imieniem, jak hymnem zachwytu. „Trąby dźwięczały całą swoją miedzią, dzwony były całym swoim spiżem“¹⁾. A poważne oczy z pod hełmu, z dostojnego cienia sztandaru musiały wówczas uroczysto ślubować temu miastu — Zwycięstwo!

Dom Jakóba Boucher, księżęcego skarbnika, obleżony był teraz od rana do wieczora, gdyż w nim zamieszkała Dziewica, dzieląc łożę²⁾ 10 o letniej jej córki. Mimo wielkiej ochoty bojowej mieszczan i załogi, skazani byli wszyscy na kilkodniową bezczynność, w oczekiwaniu na główne posiłki z Blois.

1-go maja Jan Orleański wyszedł, z niewielkim hufcem, naprzeciw nich, na znak szacunku dla Joanny, biorąc ze sobą d'Aulon'a. „Czuł, że odtąd nie można uczynić nic inaczej, jak z nią i pod jej cieniem³⁾. Całe bowiem miasto i wojsko uznawało teraz za wodza ją jedną. Czy cierpiała nad tem jego ambicja? — jest to więcej, niż prawdopodobne — w każdym razie nie mógł jeszcze ufać jej zdolnościom wojskowym i położenie jego stawało się naprawdę trudne.

A Joanna, zostawiona teraz w mieście sam na sam z szalonym zapalem obrońców, okazywała czynnem, że nie zawsze natchnienie sprzecza się z rozsądkiem.

W mieście było pod bronią (razem z milicją) około 5,000 ludzi i 70 dział; siły angielskie dochodziły do 7,000, a wartość obronną licznych ich fortów przeceniali wówczas obleżeni. W każdym razie słuszną była zupełnie ostrożność młodej „ducissy“, która nie chciała atakować, nim nadejdzie armja z Blois — choć z pewnością ta wstrzeźliwość kosztowała ją niemało.

Aby zająć i uspokoić wzburzone spóółstwo, objeżdżała codzien ulice, wiodąc rzesze, jakby w procesji, po kościołach i punktach obronnych; ludzie szli za nią chętnie, nigdy nie syci jej widoku⁴⁾, olśnieni każdym ruchem, za cud uważając już nawet rycerską jej postawę i śmiałą biegłość w zażywaniu rumaka. A ona, oglądając forty angielskie, musiała zważać pilnie, jak to wygląda i którądy najdogodniej uderzyć.

Jednak wrodzony talent nie we wszystkim zastąpić mógł doświadczenie: co do wrażenia swego listu na Anglikach łudziła się Joanna całkiem jeszcze po wiejsku i po dziecinny. Ciągłe się jej tłukła po głowie uparta myśl, że możnaby przecie uniknąć krwi rozlewu, gdyby tamci tylko zrozumieli, że sprawa ich ni-słuszna — że zrasztą i tak przegrają! Zaniepokojona brakiem odpowiedzi od nich, wychodziła sama kilkakrotnie na mury, aby z wyczajem ówczesnym rozmówić się z wrogami osobiście.

— Poddajcie się, z rozkazu Boga! — wołał donośnie jasny głos dziewczęcy — żywo! chocia ocalcie!

Lecz oni odpowiadali grubiańskim śmiechem i obelgami.

— Dziewko od krów! wpadniesz li kiedy w ręce nasze, to cię spalimy!

Nie uwierzyła temu dziewczyna — a przecie ciężko jej być musiało rozstawać się dnia tego z pięknym swoim snem o chrześcijańskim porozumieniu...

4-go maja, rankiem, nadeszło wreszcie wojsko posiłkowe, przeważnie prawym brzegiem rzeki Jan Orleański, bardzo uprzejmy dla Joanny, powiedział jej, że Anglicy oczekują też posiłków, pod wodzą Falstolfa. Ona, niezmiernie tem wcale, zawołała wesoło: — Bastardzie, Bastardzie, rozkazując powiadomić mnie, nie mieszkając, skoro ino dojdzie cię wieść o przybyciu rzezonego Falstolfa! Albowiem, skryjesz-li ono przedemną, gardłem ciebie skarzę!

Rycerz zapewnił ją, w tym samym żartobliwym tonie że dowie się na czas o wszystkim; lecz zamilczał, że tegoż dnia w południe postanowiono pierwszą akcją przeciw Anglikom, aby odwrócić ich uwagę od transportu, którego wprowadzanie mogło potrwać do wie zora. Nikt z mieszczan, ani z otoczenia Joanny nie wiedział o tem.

Znużona, zaraz po obiedzie, rzuciwszy się na łożo, zasnęła. Po chwili jednak z ywa się, niezwykle wzburzona, wzywając swoją świtę rozpaczliwym wołaniem:

— Gdzie ci, co mają mnie zbroić?! Moja Rada rzekła mi, bych szła na Angielczyków — wszelako nie wiem, zali nie iść na ich bastylle, zali naprzeciw Falstolfa? Dawajcie mi konia!

D'Aulon, który zjawił się pierwszy, nic z tego nie rozumiejąc, zapina na niej pośpiesznie rzymski pancerz. Wreszcie wpada paż, Ludwik de Contes, powitany gniewnymi słowy: — Ach, niepościwy chłopczel! nic mi nie rzekłeś, jako krew naszych się leje!

Nie czekając już na nikogo, dopada konia, chwytając gwałtownie swój sztandar i rusza, sama jedna, wyciągniętym galopem, prosto ku wschodniej „burgundzkiej“ bramie, jakby ją kto prowadził... Skryżowane z bruku kopytami jej rumaka, budzą miasto, drzemiące w ciszy letniego popołudnia — cały Orlean zaczyna pojmować, że coś się dzieje...

U bramy zatrzymuje Joannę fala wojska, cofająca się wśród wielkich strat, od bastylli St-Loup. Widok pierwszych rannych wydziera jej okrzyk boleści:

— Nie mogłach nigdy patrzeć na krew francuską iżby włosy nie powstawały na głowie mojej!

(c. d. n.)

¹⁾ J. De'teil, Jeanne d'Arc.

²⁾ W owych czasach prastary ten znak gościnności był jeszcze powszechnym obyczajem.

³⁾ A. France.

⁴⁾ Jak mówi stara kronika.

Kobieta w świecie i w domu

ŚMIERTELNOŚĆ WŚRÓD KOBIEC.

Statystycy amerykańscy zauważyli, że od pewnego czasu procent śmiertelności wśród kobiet stale się zwiększa. Jeden ze statystyków wyliczył, że jeśli ten procent będzie dalej wzrastał w tem samym tempie, to za parę lat śmiertelność wśród kobiet będzie znacznie wyższa, niż wśród mężczyzn. Do-

tychczas jeszcze stosunek ten przedstawiał się odwrotnie. Powodem tej wzmożonej śmiertelności niewielej ma być czynniejszy udział w pracy na polu przemysłu i handlu. Dotychczas bowiem kobiety, spędzające życie wśród rodziny i trudniące się tylko zajęciami domowymi, żyją, jak wykazuje statystyka, znacznie dłużej od mężczyzn.

OFIARNOŚĆ KOBIECA.

Rząd angielski podał do publicznej wiadomości nazwiska trzydziestu pięciu wieśniaczek z osiedla rybackiego Boulmer, w Northumberland, które uzyskały ponadto dyplom honorowy za usługi, okazane przy ratowaniu tonącego okrętu, podczas wielkiej burzy śnieżnej, jaka miała miejsce w czasie ostatnich świąt Bożego Narodzenia. Pomimo przenikliwego zimna i najstraszliwszej zawiei, jakiej kroniki nie notują już od lat przeszło stu — kobiety te z całym poświęceniem ciągnęły na sznurach statek ratunkowy, ważący 3 i pół tonny, przez półtorej mili angielskiej, i wytrzymały na posterunku, dopóki cała akcja ratownicza nie została pomyślnie zakończona — to znaczy od godziny trzeciej po północy do dziewiętej z rana.

LALKI JUŻ NIE MAJĄ POWODZENIA.

Fabryki lalek w Stanach Zjednoczonych są już podobno bliskie bankructwa. Dziewczynki amerykańskie przestały już bawić się lalkami. Podczas ostatnich świąt Bożego Narodzenia właściciele sklepów z zabawkami nie sprzedawali nawet setnej części zakupionych przez siebie lalek. Młode amerykańki nie chciały nawet patrzeć na tę „przestarzałą” zabawkę. Największym zato powodzeniem cieszyły się miniaturowe samochody i tramwaje, „takie, które można nakręcać, i które same chodzą.” Nawet i w tem przejawia się duch czasu!

DOBROCZYNNE ODKRYCIE.

Dowiadujemy się z pism paryskich o nowym odkryciu naukowem, dokonaniem przez kobietę. Lekarka francuska, p. Physalix, znana już w kołach naukowych, jako autorka szeregu prac medycznych, przedstawiła obecnie paryskiej Akademii Naukowej rezultaty swych doświadczeń nad szczepionką przeciwko wściekliznie. Szczepionka ta daje podobno doskonałe rezultaty i przyczyni się niewątpliwie do zwalczania tej strasznej choroby, dotykającej nie tylko zwierzęta, ale i ludzi.

ZAMIAST ŻŁOTYCH GODÓW — ROZWÓD.

W Ameryce zdarzył się niedawno rzadki zaiste fakt rozwodu po pięćdziesięcioletnim pożyciu małżeńskim. Państwo Williamstwo Thanklebury mieli w tym roku właśnie obchodzić uroczyste pięćdziesiątą rocznicę swego szczęśliwego pożycia małżeńskiego, gdy w tem podeszły już w lecach małżonek opanowany został przez epidemiczną w Ameryce chorobę rozwodową. Nie wważając na błagania wiernej małżonki i oburzonych dzieci i wnuków, których ogólna liczba wynosi 32 osoby, pan William Thanklebury wniósł do sądu podanie o rozwód, podając jako motyw swej decyzji, że czuł on od lat najmłodszych powołanie do stanu bezżennego i tylko nieporozumieniu przypisać należy, że nie został na całe życie kawalerem.

Z. B.

NA MARGINESACH ŻYCIA

Zbiór listów, kierowanych do redakcyj pism — to prawie zawsze zbiór dokumentów życia; nie tego życia, które się pieni i lśni po wierzchu, które jest głośne i wiadome, ale tego szarego, co stanowi olbrzymie podłoże narodowego bytu.

Ma i „Bluszcz” takie swoje „dokumenty”, niezmiernie ciekawe i charakterystyczne. Pozwoliłam sobie tym razem dobrać z tego archiwum parę rzeczy, oświetlających doskonale pewne strony życia współczesnej kobiety polskiej i jej przejścia duchowe.

Oto list, który mógłby dać do myślenia tym, co redukcję urzędników państwowych rozpocząć chcą od pozbawienia posad kobiet zamężnych. Mógłby dać do myślenia, gdyby w tych trybunałach redukcyjnych myśleć chciano i umiano.

Korespondentka nasza, nauczycielka szkoły powszechnej z zapadłej gdzieś prowincji, mężatka i matka rodziny, usprawiedliwia się w wstępie, dlaczego musi zaprzestać prenumeraty „Bluszczu”. To oczywiście winna redukcja płaci!

„Powie któraś z pań piszących artykuły, że nie powinnam ograniczać do tego stopnia moich wydatków” — dodaje długoletnia prenumeratorka. — „A jednak muszę! Trzeba najstarszą córkę wysłać do miasta na naukę, trzeba o jakiej takiej wyprawce pomyśleć”..

A nie sądźcie, że ta nauczycielka i matka rodziny próżnuje, że nie stara się powetować niedoborów, wywołanych redukcją płacy. Oto spowiedź jej życia.

„Pracuję na niwie nauczycielskiej lat 19, 13-ty rok jestem mężatką, a 11-ty rok matka. Przez ten czas nie ubywało mi, lecz owszem przybywało obowiązków. Przez cały ten czas musiałam być kucharką i plekarką, od czasu do czasu, masarką, lekarką domową, praczką. Od kilku lat awansowałam na gospodynię wiejską. Musiałam nauczyć się dojenia krów, i wielu innych robót, do których, przyznam się szczerze, w młodości czułam wstręt. Poszły w kął moje ulubione dumki, moje marzenia, moje aspiracje, bo przecież ja i obszywam dom cały sama, a i robót ręcznych nie zaniechałam”..

Z pewną naiwnością dziwi się autorka listu. że w epoce gdy robotnikowi ogranicza się ilość godzin pracy, „dla nas kobiet dla matek niema nigdy ograniczenia”. „I nie ja jedna tak pracuję — mówi — jest nas legion!”

A oto w jakich warunkach odbywała się i odbywa jej służba nauczycielska.

„Lata, lata całe poniewierki w dusznej, niskiej, chłopskiej izbie, czasem mieszkanie za przepierzeniem z kilku desek, lub w klasie, całe lata niedoli po zapadłych wioskach, oddalonych nieraz o 30 kilometrów, lub więcej od kolei; brak towarzystwa, brak inteligentnych ludzi! A uczenie dzieci czterech stopni w jednej dusznej klasie, i ta męka nad dziećmi chłopskimi, które przychodzi, nie znające pacierza, mowy i swoich nazwisk! A ten zaduch w czasie nauki! W klasie 100, 140 i 160 dzieci! Mój Boże, wtedy o redukcję ilości dzieci nikt nie kołatał!”

Po kilkunastu latach takiej pracy — widmo redukcji! Nauczycielki mężatki biorą dwie pensje krzyczą panowie Oszczędniccy z pod ciemnej gwiazdy. „Ale wszak nauczycielką bierze tę swoją pensję za swoją pracę!” oburza się nasza korespondentka. I dochodzi nareszcie do wniosku, na który w „Bluszczu” już tyle razy dzwoniło, że „My kobiety musimy stać na straży swoich praw, musimy się popierać wzajemnie i nasze postanki powinny o tem pamiętać i stawać w obronie zagrożonych praw kobiet. Tym, co twierdzą, że nauczycielki mężatki pracują na pudel i stroje, odpowiada autorka listu starem, ale zmodernizowanym przekleństwem: „Bodajżeś cudze dzieci uczył, a swoje dla nich zaniedbał!”

Mówcie, co chcecie, ale z tego listu zrywa się krzyk duszy, co wewnętrznej treści swojej rozwinąć nie mogła, zaprzężona do kieratu codziennej, a nad miarę sił, nad prawo ludzkie i Boskie wyczerpanej pracy — i krzyk matki, co musiała zaniedbać wychowanie swoich dzieci, by pracować na ich byt.

Twardą jest dola współczesnej kobiety polskiej! I zaprawdę, zamiast wyrwać jej ostatnią deskę z pod stóp, należałoby rozpocząć oszczędności od tępienia nadużyć, dokonywanych przez mężczyzn.



Milijony złotych giną w kieszeniach defraudantów, synekurzystów, urzędników, korzystających ze swoich urzędowych stanowisk dla robienia najobrzydliwszych geszeftów, a oszczędza się na oświacie, podkopując jednocześnie byt najuczciwszych, najpracowitszych rodzin!

Zaprawdę! To są wobec przyszłości narodu bardzo ciężkie grzechy, a nie kobieta polska będzie za nie odpowiedzialną...

Inny list!

O odmiennej zgoła treści, a jakże dla chwili, którą przeżywamy, charakterystyczny!

Opowiem pokrótce zdarzenie, bo list jest zbyt długi, by go cytować bez skrótów.

Matka, kobieta w podeszłym już wieku, jak sama twierdzi, nerwowa i popędliwa, podczas błahej sprzeczki z dorosłym synem — który właśnie wrócił był z wojny światowej, uniknąwszy szczęśliwie najstraszniejszych niebezpieczeństw — powiedziała mu w gniewie: jesteś głupi.

Syn, równie popędliwy, jak matka, odrzucił jej, jak piłkę, te same wyrazy.

Oniemiała w pierwszej chwili ze zgrozy, potem z całym impetem wzbudzonych nerwów zawołała: „Pamiętaj, że Bóg cię skarze.“

Syn, zresztą gorąco kochający rodziców, szlachetny, ofiarny patriota, zwierzał się potem rodzeństwu, że w tej chwili uczuł jakiś ciężar na duszy i niczem niewytłumaczony lęk.

Istotnie, od tej chwili zaczęły nań spadać nieszczęścia. Aresztowali go Niemcy na pograniczu, gdy działał na rzecz Polski (cała historia działa się zapewne na Śląsku) i matka patrzeć musiała, jak prowadzono go do więzienia, jak maltretowano po drodze. Jako byłemu żołnierzowi armji pruskiej, zagrażała mu śmierć, na szczęście pewnej nocy koledzy uprowadzili go z więzienia i wywieźli zagranicę. Sądziła, że już koniec, że synowi nic nie grozi, alści po pewnym czasie, jak grom uderza ją wieść: syn zginął w powstaniu przeciw Niemcom.

Odtąd zaczynają się wyrzuty sumienia.

„Rozumiem już teraz dobrze — pisze nieszczęśliwa — że ten mój ukochany, a nieszczęśliwy syn zginął przez matkę, przez słowo, w złą godzinę wymówione.“

Myśl ta nie daje jej spokoju. „Życie bym dała, ażeby można odwrócić to, co się stało!“ „Zrywam się ze snu, wołam i proszę o przebaczenie, płacze, płacze, że poduszka od łez mokra! I już tak będzie do końca życia! Zasłużyłam na to!“

Korespondentka nasza pisze to „dla przestrogi innych“ i słusznie!

Za mało dobroci jest we współczesnym życiu naszym, za dużo nerwów, za mało panowania nad niemi!

Rzucamy sobie nawzajem słowa ostre, złe, krzywdzące, a choć nie wszystkie mają magiczną siłę przekleństw, to przecie wykopują nieraz przepaście, zadają wiecznie krwawiące rany, burzą szczęście, zrywają święte węzły.

A potem żal straszny żal!

Któż wytłumaczy dziś sędziwej matce, że wina jej mała! że wola Boża... Ona wewnętrzną wiedzą duszy czuje się sprawczynią nieszczęścia. I płacze, płacze!.. I tak już będzie do końca życia!..

„Liebe so lange du lieben kannst,
Liebe, so lange du lieben magst,
Die Stunde kommt, die Stunde kommt,
Wo du an Graebem stehst und klagst.“

pisał któryś z romantyków niemieckich.

Kochaj, dopóki kochać możesz,
Kochaj, dopóki kochać umiesz,
Przyjdzie godzina, przyjdzie godzina,
Gdy nad grobami staniesz płaczący..

Niesmiertelne słowa!

Któż z nas nie czuł żalości, że za życia nie był dla swoich umarłych lepszym, że ich nie kochał lepiej, goręcej?

O więcej dobroci w życiu!

Andrea.

Z TEATRÓW

TEATR LETNI

„Komedia wiarołomstwa“ — komedia w 4 aktach
E. Horwooda.

Bohaterką komedji Harwooda jest obłuda, partnerem jej Konwenans. Znamy tę parę nie od dzisiaj: występuje prawie w każdej sztuce angielskiej. Zależnie od środowiska, epoki i indywidualności autora wciela się w rozmaite postacie, zawsze jednak jest ośrodkiem i primum movens akcji.

Bardzo jaskrawo i wyraźnie występuje to w „Komedji wiarołomstwa“. Pani Ellen, pan Nick Bellamy, pan Lestrangle, panna Joyce i opiekun nieszczęśliwych, pan Prothope w mniejszym lub większym stopniu są ucieleśnieniem tych narodowych cnót angielskich.

Zwłaszcza pan Nick Bellamy. Jest posłem, działaczem politycznym i — robi karierę. Droga do niej jest w Anglii śliska, lada nieopatrzny krok zgubi działacza w oczach społeczeństwa. To też pan Bellamy jest bardzo ostrożny; przewiduje zgóry skutek każdego swego posunięcia i raczej poświęci na ołtarzu Karjery miłość, niż miałby go zbesczczyć.

Na szczęście w Kraju Obłudy i Konwenansu są instytucje, ułatwiające obywatelom trudne warunki egzystencji. Kierownikiem jednej z takich instytucji jest pan Prothope: w skromnym jego atelier znajdziesz radę i środek na każde zmartwienie. Pan Prothope pomoże i panu Bellamy, którego trudność życiowa polega na tem, że kocha się w kobiecie zamężnej.

Małżeństwo z rozwódką jest pewnym ryzykiem, ale rozwiedzenie kobiety zamężnej byłoby skandalem. Pani Ellen musi rozwieść się z mężem nie dla Nicka, ale dla kogoś trzeciego. Będzie nim pan Lestrangle, młodzieniec niewiadomego zawodu i pochodzenia, którego bieda zagnała do Atelier Prothope. Ludzie, dla których konwenans jest wszystkim, nie wahają się wtajemniczyć obcego mężczyznę w swoją grę, ratując pozory — komedją wiarołomstwa.

Ale los bywa złośliwy: pan Lestrangle jest uosobieniem istotnych zamiłowań i ideałów pani Ellen (pani Ellen ludzi się, że Nick jej imponuje wyższością duchową nad jej mężem). Przytem jest młody, przystojny i obłuda jego jest innego rodzaju. Flirt zgóry ukartowany cięży obojgu (Nick wprowadza Lestrangle do domu pana Hannay jako swego przyjaciela); Lestrangle stara się wywiązać sumiennie ze swoich zobowiązań. Kompromituje panią Ellen o każdej porze dnia i na każdym miejscu.

Ale mąż jest ślepy (mąż zawsze jest ślepy lub bezpodstawnie zazdrosny), Nick zazdrosny, a pani Ellen dziwnie podrażniona... Chłopak ma dość tej komedji: między nim i Nickiem dochodzi do ostrego starcia, w którym młody ladaco zarzuca obłudę uroczystemu moralistcie. Pan Bellamy widzi niebezpieczeństwo w obcowaniu pięknej Ellen z Lestranglem; przestała czytać broszury Nicka, nie interesuje się polityką, natomiast zaczyna mieć wątpliwości, czy należało okłamywać męża dla człowieka takiego, jak Nick? (proszę zwrócić uwagę na ten specyficznie angielski rodzaj wyrzutów sumienia!). Pan Bellamy pragnie przyspieszyć rozwiązanie. Zwraca uwagę przyjaciela, a męża pani Ellen, na zachowanie się jej i pana Lestrangle. Pokazuje list, w którym Lestrangle naznacza „ukochanej“ schadzke. Ale list czyta jeszcze jedna osoba: panna Joyce, która oddawna podejrzewa cioteczke o flirt z Lestranglem.

Panna Joyce nie przyzna się nigdy, że chodzi jej o Lestrangle'a, a nie o honor wuja.

Rzekomo dla uratowania tego honoru zjawi się na schadzke... Pan Archibald, znalazłszy w objęciach uwodziciela nie żonę, a siostrzenicę, chętnie wybaczy Lestrangle'owi ten mały nietakt, zwłaszcza, że oboje młodzi chcą go naprawić małżeństwem. Podstępny plan pani Ellen i pana Nicka nie udał się. Ale pani Ellen tego nie żałuje: zobaczyła Nicka „au naturel“, bez peruki i ma go dość. Zachowa odrobinke żalu do Lestrangle'a, że pokochał Joyce, a nie ją, ale znajdzie pociechę w objęciach kochającego męża.

Komedji tej słuchamy z prawdziwą przyjemnością i zainteresowaniem. Zrečný dialog; kilka dobrych powiedzeń, dobre tempo gry. Pan Grabowski był przemiłym lekkoduchem, pani Cwiklińska czarowała subtelną grą i wspaniałemi tuajetami. Pan Prothope pana Rapackiego doskonały, Nick pana Lenczewskiego zbyt może przejawiony. Reżyserja i gra Pawłowskiego (mąż) bardzo poprawna.

Z. P.







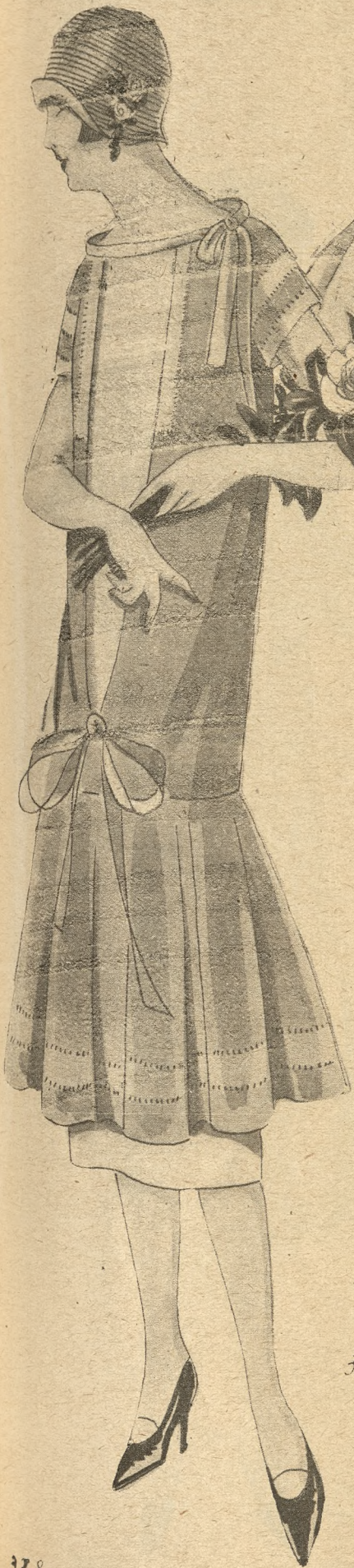
373.

324.

375.

376.

377.



378.

380.

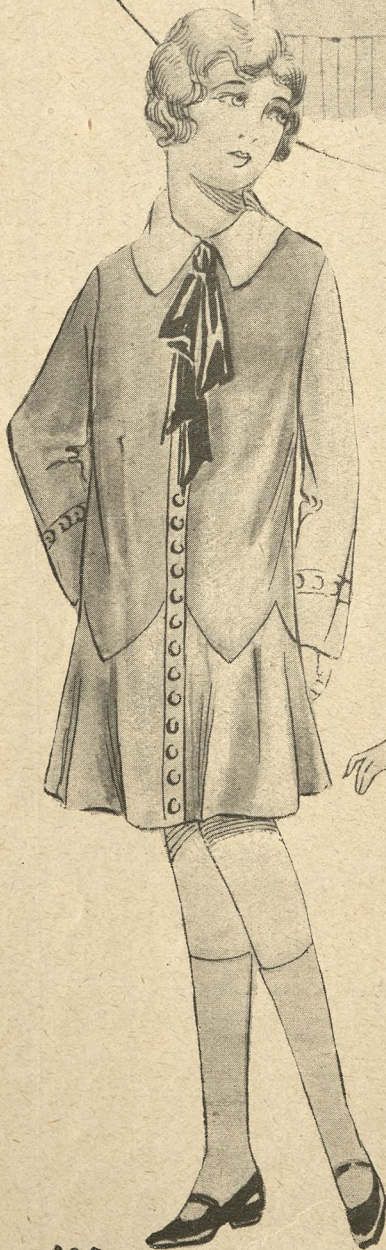
381.

382.



383.

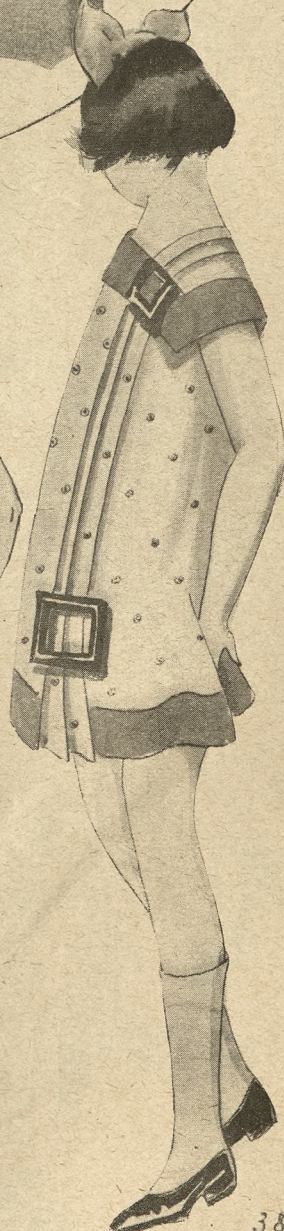
384.



385.



386.



387.



388.



M. H. Fowler

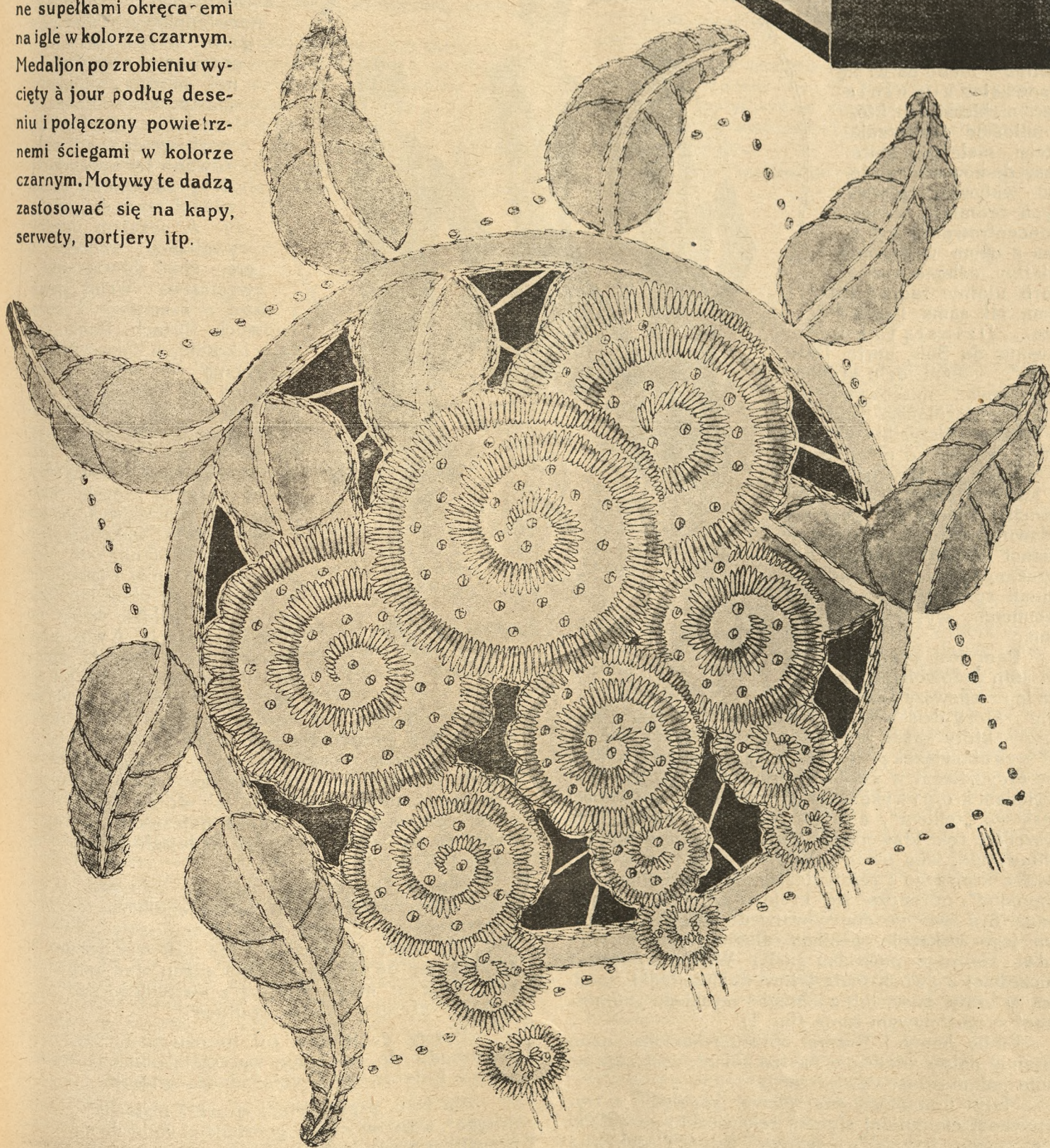
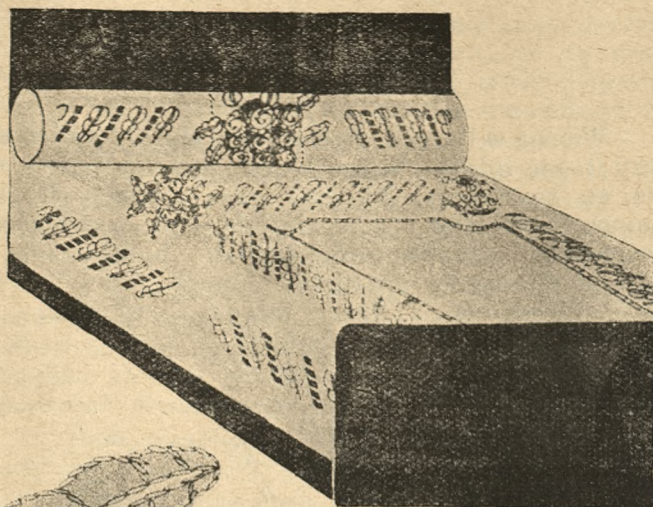


390

Motyw na środek poduszki — haft kolorowy wykonany jedwabiem. Naokoło woda, lub falbana z jedwabiu, albo satyny.

MOTYW NA SZAREM PŁÓTNIE

Motyw ten, przerysowany na płótno, malowany specjalnymi nie wypierającymi się farbami na cienkim samodzielnym, składa się z liści podmalowanych na kolor lawende, otoczonych ściągami pocztowym bawełną D. M. C. czarna, grubości zastosowanej do materiału, na którym się robi. Kwiaty złotożółte podmalowane—kontury ich odznaczone bawełną w tym samym kolorze—ale w ciemniejszym cieniu. Kropki robione supełkami okręcałymi na igle w kolorze czarnym. Medaljon po zrobieniu wycięty à jour podług deseni i połączony powietrznymi ściągami w kolorze czarnym. Motywy te dadzą zastosować się na kapy, serwety, portjery itp.



LIST Z PARYŻA

Wiosna w Paryżu! Kto jej nie widział na własne oczy i nie odczuł wszystkimi zmysłami, ten nie wie, co to znaczy. Stolica, która w ciągu długich zimowych miesięcy zdawała się być uosobieniem przepysznej wyrafinowanej kobiety, budzi się od pieśczętą promieni słonecznych, odrodzoną, z duszą młodej dziewczyny chciwej swobody i zdumionej radością życia. Z niebywałą szybkością miasto przybiera zgoła inną postać: nieznanne aromaty unoszą się w przejrzystym powietrzu i niebo barwi się w specjalny zupełnie szaro-niebieski ton, który miłośnie odtwarzają tutejsi malarze, zbite masy domów złocą się pod wpływem pierwszych promieni; słońce, skoncentrowane w jednym z okien w pryzmat świetlny, oślepia oczy — skarb ulotny, radość znikoma, jak sama istota Paryża... Dziesiąta z rana. „Avenue du Bois, porte Dauphine”. — Pani idzie krokiem elastycznym, miarowym. To czas obowiązującego footing'u po Lasku. Wszystkie względy ustają — lenistwo niedozwolone. Trzeba być przedstawicielką swojego czasu, swojej generacji i należy pożegnać się z dawniejszymi zwyczajami w postaci miłego błędzenia bez wyraźnego celu, z nadzieją jednak spotkania przedmiotu tajemnych wyśnionych marzeń...

Pani jest promienna! w ten stan zadowolenia wprowadza ją przede wszystkim „smoking”, który dziś właśnie inauguruje — kostjum klasyczny, który każda szanująca się paryżanka uważa sobie za obowiązek posiadać. Ten z rannej przechadzki jest arcydziełem w swoim rodzaju, bez zarzutu pod względem kroju i wykończenia, niema on sztywności męskiego „tailleur”, ani też miękkości żakietu, który wyszedł z ręki krawcowej. Jest on kreacją wielkiego salonu mód, jako owoc współpracy twórcy artysty, mistrza krojczego i reszty doskonałych wykonawców. „Smoking” odznacza się krojem zupełnie męskim i musi być świetnie dopasowany do figury. Jak nazwa jego wskazuje, posiada długie wąskie rewery i dwa złączone pośrodku guziki. Wykonywany jest najczęściej z dwóch materiałów: żakiet gładki; spódnica w kraty, pasy, lub z jakiegoś męskiego „homespunu” w pastelowym tonie (fig. 1).

Firmy Jenny i Premet obiecują nam na sezon jesienny dalsze inowacje na ten temat, zastrzegając sobie jednak czasową dyskrecję.

Mały drapowany na głowie kapelusik z trykotowanej cieniutkiej słomki, rękawiczki i pantofelki z mocnego box-calf'u, tworzą całość szykowną

i sportową, co jest ostatnim wyrazem elegancji. Lis i piękny rozchylony gwoździak w butonierce dodają jednak całej postaci trochę miękkości i kobiecego wdzięku. Śniadanie, siesta... kilka nieudanych prób telefonicznej rozmowy, gdyż niema nic trudniejszego nad to w Paryżu i Pani

naznacza rendez-vous na piątą z najserdeczniejszą „ennemie intime”

w Ermitage'u na Polach Elizejskich, który uchodzi za jeden z najbardziej eleganckich popołudniowych dancingów.

W tym specjalnym otoczeniu, przy dyskretnej muzyce, lilipucich ciasteczkach i tancerzach bez zarzutu, Pani pozbywa się apatii, zblazowane jej nerwy znajdują tu wielce odpowiedni teren do podniecenia. A pozatem uczucie rywalizacji wchodzi w grę, chęć błyszczenia i zwycięstwa. Wciąż gawędząc o szmatkach i sezonowych flirtach, Panie rzucają ukradkiem inkwizytorskie spojrzenia na inne tualety: straszna to krytyka kobieca, bo zgóry nieprzychylna. To tu właśnie do Ermitażu, wielkie salony mód wysyłają swoje najpiękniejsze modelki ubrane w ostatnie kreacje, reklamując się prawdziwym gustem i wytwornym wykończeniem.

Moda zmieniła się mało od zeszłego roku i jakkolwiek w detalach są różne inowacje, czuje się jednak wciąż podobną orientację. A więc przede wszystkim kwestja stanu, który, posuwając się coraz wyżej, wraca powoli na swoje naturalne miejsce, bo trudno nazwać było stanem

linię, która przecinała suknię na wysokości kolan. Suknia obecna rozszerza się od stanu marszczeniami, fałdami, plisami, falbanami, wachlarzami itp. Pozatem suknia pozostaje jak dotąd krótka i obcisła, rozszerzając się jednak najczęściej w ramionach, co po wszystkie czasy nadawało jej dużo dystynkcji. (rys. 2).

Wpływ Dyrektorjatu daje się odczuwać w dalszym ciągu w karczkach, naramiennikach, szerokich kontrafałdach, długich węzłach empirowych Karczek robi się coraz to dłuższy i nie jest wykluczone, że, zniżając się, da nam z biegiem czasu stan bardzo wysocki, o czym mówi się już z wszelkimi zastrzeżeniami w sferach „haute couture”.

Barwy pastelowe od brązu do bursztynu, od szmaragdu do seledynu, wszystkie odmiany czerwonego i fioletowego i wciąż dalej niebieski.

Na lato przepowiadają „vert pistache” i „rose dragée”, które w crêpe georgette i voile de soie, dają prześliczne rezultaty.



Ale czas schodzi. Jeszcze jeden „tour“ zawrotnego „charlestone“ z tym nieznanym tancerzem, który dotychczas nie brał w tańcu udziału i dopiero teraz pierwszy raz tak cudownie tańczy... i Pani wraca.

Jest bardzo spóźniona, bo czeka ją dziś jeszcze wieczór u znajomych pp. M., pięćdziesiąt kilometrów pod Paryżem. Aby być na wysokości zadania, należy już od marca wyjeżdżać w okolice Paryża na prośzone kolacje, lub do doskonałych podmiejskich restauracji. Ma się w ten sposób przedsmak letnich wieczorów w Lasku, lub nadmorskich kasyn, które jak zwykle ściągają w tym roku w swoje gościnne progi całą „société à la page“. A zresztą czas już nareszcie zmienić trochę ciężką atmosferę nocnych paryskich dancinów.

Pani spędza długą chwilę w swoim sanktuarjum i nareszcie schodzi szczerze owinięta w obszerne wygodne okrycie do auta. W pół godziny później w dobranym towarzystwie całą siłą pary pędzi w okolice Paryża. Tuż za bramami Paryża, Pani chwytą kierownik, gdyż sama po mistrzowski prowadzi. Ciemno, szybkość coraz wzrasta; ostatnie podmiejskie wille zostały wtyle... Pani poddaje się szalowi

szybkości,—przestała mówić, rozszerzonymi źrenicami zdeje się pochłaniać przestrzeń... a na prawym jej ręku błyszczą w ciemnościach wielkie kwadratowe brylanty, tworzące jedną w swoim rodzaju bransoletę—klejnot godny królowej.

Aż nareszcie zmęczona, szalona szoferka zdaje się zwalniać trochę. Skręca, zmienia kierunek i wreszcie jednym ruchem zatrzymuje się przed wysokim parkanem.

Willa staje w całej okazałości w głębi alei, oświetlona rzęsiście na przyjęcie gości. W kilka chwil później towarzystwo odnajduje się znowu wśród zgiełku głosów, podnieconej temperatury i jasnych sylwetek niewieścich.

Pani, zrzuciwszy z siebie wraz z płaszczem, duszę „sportswomen“, przeistacza się zupełnie.

Suknia ze srebrno niebieskiej tafty uderza prostotą i świeżością (Nr. 3). Maleńka, strzyżona główka gładka i błyszcząca stanowi niebywały kontrast ze śnieżnymi ramionami i lekkością artystycznie wykonanej tualety...

Na tym kontraście polega cała zagadka Jej kobiecości.

Sekwa

TO, CO NAM NAJBARDZIEJ PSUJE ŻYCIE

To, co nam najbardziej psuje życie, jest poziome i małe wobec wielkich zagadnień, które poruszają z posad ziemię, a jednak ma moc dokuczania, większą moc, niż nieszczęście, co podlega zbawienym prawom czasu, moc trwałą i uporczywą, niby naprzykrzona mucha, zakłócająca słodkie dolce far niente.

Tą siłą destrukcyjną, tym życiowym trouble joie jest niewspółmierność potrzeb i środków. Gdybyż to potrzeb jedynie, ale niestety i potrzeb i pragnień, i pokus, w które stroi się życie, grając przed nami biednymi, „materjalnie upośledzonymi“ rolę zwodnicy i kusicielki.

Czy jest na to jaka rada? W wielu wypadkach Golgota sławnego związywania końca z końcem nie ma poważnych podstaw, wynikających z prawdziwego braku, ale poprostu niedocenienia apetytu wiecznie głodnego zwierza, którego rozwartą paszcza czyha na żer i nie przymknie się na chwilę, dopóki odpowiednio nasyconą nie będzie.

Tym żarłocznym okazem o wiecznie i wiecznie wzmożonym apetycie jest dom...

Woła on donośnie o swoje, nie da się oszukać, nie da się zaspokoić byle czem, a jeżeli dzisiaj załagodzimy go obietnicą jedynie, jutro zemści się na nas koniecznością wydania takiej sumy, która za jednym zamachem podkopie i zniszczy wszelkie kalkulacje.

Ach ten dom. Kochany, miły, ciepły dom rodzinny. Ile on nas kosztuje zmarszczek przewczesnych, ile chmur na czole, jaką przedziwną władą mocą zatruwania życia ze swoim: „proszę pani na węgiel, na drzewo, na mydło do rąk, na pomadkę do czyszczenia, na płat do wycierania podłogi“, Bóg jeden wie na co jeszcze, dość, że przychodzi przed nasze oblicze z potrzebami swoimi właśnie wtedy, kiedy zasiadamy do triumfalnego zliczania wydatków dnia, co miał dać dodatnie wyniki systemu oszczędnościowego i pozwolić pod koniec tygodnia,

czy miesiąca na zbytkowny, a nieobjęty budżetem „wybryk“ o zgoła niepraktycznej naturze. Nic to, że pójdzie w jednej chwili cały zapas grosza, nic w porównaniu z tą depresją, jaka idzie od daremnych poczynań i przeświadczenia, że paszcza nie zamknie się nigdy, ani na chwilę, że wyssie z nas odżywcze soki do ostatniej kropli, pozbawiać nas będzie ze złośliwą radością książki, świeżego kwiatu, teatru, koncertu, wszystkiego, co wyrosło nad poziom odżywiania i utrzymywania w czystości ciała rodzinnego.

Ale otóż i stronny sąd.

Ten łapczywy, żarłoczny zwierz, to przecież dom, kochany, jedyny, wyśniony i wymarzony dom własny, skarbnica dobra, cisza po burzy dnia, co siekła nas złością ludzką, wysiłkiem nadmiernym, brzydota walki o kawałek chleba, to, nadewszystko cenne, „u siebie“! Ściany, o które obija się śmiech dziecinny, porzucona niedbale pośrodku dywana lalka z widomem piętrem władczych, a tak bardzo ukochanych rączek na oskalpowanej głowie, świadek naszych poczynań i łez wylewanych skrycie, łez, w których młodzieńczy zachwyt i wielka wiara przerażają się w cenny kruszec zrozumienia i moc trwania, to skarb bezcenny, którego prawdziwą, głęboką, niezastąpioną wartość rozumie prawdziwie ten, kto mówi o sobie „jestem bezdomny.“

A zatem, jeżeli źródło wszelkiego dobra zaczyna sączyć jad, trzeba dociec przyczyny i znaleźć środki zaradcze.

Przyczyna leży przeważnie w nieumiejętności prawdziwego i racjonalnego oszczędzania i w braku organizacji.

Jest jedno takie zabójcze słowo, któremu na imię chaos, a który gubi nie tylko małe i większe organizmy domowe, ale i całe narody.

Egzystencja oparta na chaosie, bezplanowa, dorywcza, zawsze prowadzi do zguby. Podkopuje budżet nikle i silne, z jednymi załatwia się z błyska-

wieczną szybkością, drugie, te odporniejsze, trawi dłużej i trudniej, ale pochłonie wszystko. Niema dla niego przeszkód i niema niepodobieństw. Jednostkami żywi się godziny, dziesiątkami—dnie, setkami—tygodnie, ale i miliony jej się nie ostoją, bo chaos to wszystko co bezładne, pomieszane, nieuporządkowane, to otchłań, w którą staczają się nieopatrni, staczają się bezpowrotnie.

W budzecie naszym, chwiejącym się stale, jak okręt na wzburzonych falach morza, każde „nieopanowanie“ robi wyłomy i szczyby. Nietylko te biedne pięcio, dziesięcio, czy piętnasto-złotówki, które, zależnie od wielkości maszyny, składane na ołtarzu dobra domowego, robią z dających pokrzywdzonych bohaterów, a z tych co wydają, nienasycone wampiry, nietylko one przy braku mozolnie opracowanego i ściśle obserwowanego budżetu, rozplływają się, niczem śnieg w wiosennym słońcu, ale weźmy jako przykład nadchodzący sezon letni i kwestję tak nieliteracko, ale dobitnie nazwanego „obsprawienia“ się.

Biada tej, która rzuciła się w czeluść magazynów bez przemyślenia i ujęcia w ścisłe ramy sprawy toaletowej. Wpada w wir kolorów, fasonów, modeli, wyciągają do niej kuscielskie główki budki, klosze maleńkie, i zawsze tak urocze i modne sportowe kapelusiki, barwne i spokojne w tonie parasolki, których królestwem deszcz i słońce, płaszcze sportowe, spacerowe, kostjumy fantazyjne i angielskie, woreczki, bluzki, peleryny... I znów chaos, nieszczęsny, zgubny, niebezpieczny chaos. Jeżeli jest się kobietą uzbrojoną w decyzję, powziętą zgóry, przepaść, na dnie której leżą sztuki misternie tkanej „Kashéclas, Travéclas, Nimbéclas, Linéclas“, grających cieniami drzewa różanego, migdału, barwinku, tęsknie pastelowych i tak bardzo pociągających wyobraźnię naszą, staje się w jednej chwili niby prosta droga, po której pewnym krokiem idziemy do celu, bo niema w nas wahania. Z poza piętrzących się sztuk tych wszystkich śliczności do rozentuzjarmowanego ekspedjenta dochodzi spokojny i świadomy głos kupującej, która, chwając i doceniając „wybór“, żąda jednak stanowczo czegoś, co sobie zgóry wypatrzyła, co będzie modne, ale nie najmodniejsze, praktyczne, eleganckie, przystosowane do jej potrzeb, jej życia, czegoś, po co tutaj przyszła, mając obrany fason i plan w główce gotowy.

Bo niema nic niebezpieczniejszego, jak te letnie toalety. Ciągną wzrok, kuszą, a takie są niby dostępne! Materiał niedrogi, szeroki, dobrze się pierze, do jego kłorytu pasować będzie każdy kapelusz, przemawia za nim wszystko, ale najgorsze to, że nietylko za nim, ale i z całym szeregiem jego współbraci Tworzą razem coś niby tęczę—są śliczne. I jak tu sobie odmówić takiej bagatelki. A z tych bagatelek nietylko że rosną sumy, jeżeli policzyć dodatki, robotę, ale kończy się to zazwyczaj smutnym rezultatem, rezultatem takim, że, posiadając w garderobie naszej dużo t. zw. „śmieci“, nie mamy nic prawdziwie ładnego i stosownego do włożenia, gdy nadejdzie tego potrzeba, zato wydatki były ogromne i nie spostrzegłyśmy się nawet, gdy te niedrogie materiały i urok ich powierzchniowy pochłonęły cały zasób gotówki, przeznaczonej na rynsztunek sezonowy.

Z doświadczenia wiem, że sprawy „sprawiania“ nie można traktować lekko. Niewtajemniczonym zmarszczka na czole pani Ady, lub chmura troski, co rzuciła cień na artystycznie karminowane jej liczko w okresie szykowania się na nadchodzący sezon, może się wydać lekkomyślnym pogrążeniem w ot-

chłań błahych, zbyt błahych, jak na te ciężkie czasy nastroi. A jednak tak nie jest. Bo stosunkowo małymi środkami (przyznajmy się w cichości, że każde środki są „stosunkowo“ małe do naszego wiosenno-letniego apetytu) stworzyć ładną i modną sylwetkę, a nadewszystko postawić swoją garderobę na wysokości takiej, żeby zawsze być dobrze i odpowiednio ubraną, jest mistrzostwem nielada. Trzeba na to prawie że ministerjalnej główki, siły woli, która każe się trzymać raz wytkniętej ścieżki, gustu, znajomości własnego typu, no i nadewszystko trzeba wiedzieć, czego się chce i trzeba trzymać się tego bez odchylenia.

Na „kampanję wyborczą“, vel wędrówkę po magazynach, nie wolno wyruszać bez głównych wytycznych, a główne wytyczne opierać się muszą na zgłębieniu sytuacji.

A więc pierwsze, to wczuć się w okres, co idzie. Jak mamy zamiar spędzić lato? Gdzie całować nas będą ciepłe słoneczne promienie, w górach, na morskiej plaży, w cieniu stuletnich lip, co modrzywiowy otulają dworek, na stopniach zdobnych kwiatami tarasów, lekkim spadkiem wiodących nas w grabowe szpalery, ścieżki strzeżone sztamami wonnych róż, w gąszcz i chłód wiekowych parków rodowe otaczających siedziby? Czy poprostu „po biurze“ na plaży nadwiślańskiej, czy na ławce w Botaniku, lub Alejach Ujazdowskich, a w najlepszym razie to w dniu świątecznym, za miastem, gdzie wyrzuci nas ciężko spracowana i zasapana kolejka wąskotorowa.

Każda z tych sytuacji wymaga czego innego i każda da się załatwić pomyślnie i stosunkowo niezbyt drogo, ale trzeba na to opracować ją z rozwagą i w ważną czynność najlukratywniejszego wydania ciężko zdobytych pieniędzy wejść pod znakiem rozwagi, a nie chaosu.

Ach, gdyby to było tak łatwo żyć, jak pisać, co za nadspodziewane rezultaty wydałyby nasze poprawne systemy. Ręczę, że wówczas nie spotkałabym się nigdy ze zdaniem: „dobrze jest radzić i radzić, ale pytanie, jak ona sama wywiązuje się z tych wszystkich trudności życiowych?“

Otóż pozwólcie mi zwierzyć sobie jedną tajemnicę. Jak najgorzej! i to jest przyczyna, dla której chciałabym was wszystkie ustrzec od skutków tego smutnego słowa. Przyznaję się dlatego, tak szczerze i bezpretensjonalnie do słabości swojej, że chcę, aby czytające te słowa kierowały się słuszną teorią, że nie trzeba być w niczem zbliżoną do doskonałości, aby dawać rady. Przeciwnie. Im kto więcej błądzi, tem donioślej odczuwa skutki i tem szczerzej chciałaby uchronić przed niemi innych, a w tym wypadku—inne.

Otóż stwierdzam kategorycznie, że wyrzeczenie się w porę zachcianki z dziedziny toaletowej, nawet takiej, która wydaje nam się koniecznością, bez której obejść się—to niepodobieństwo, kosztuje w praktyce dużo mniej przykrości, niż materialne „zaciągnięcie się“, które wytrąca nas z równowagi na tygodnie i miesiące. A jeżeli już mówimy o tem, co nam najbardziej psuje życie, o tej wiecznej niezgodzie potrzeb i środków, o lukach niezapełnionych w budzecie domowym i osobistym, musimy się jeszcze przyznać do jednej wspólnej, a tak bardzo często spotykanej u nas winy. Nie umiemy całokształtu naszego życia przystosować do faktycznych środków materialnych.

I tak: w pensji urzędnika państwowego na wysokim stanowisku, bo w pensji pięćset-złotowej, na którą przypada mąż, żona i dwoje dzieci, nie mieści się w żadnym razie dancing, sukienka wieczno-

rowa, bez których obejść się jakoby nie można. Nie mieści się też restauracja w miłej kompanijce, karty i wiele, wiele innych rzeczy, bez których znów jakoby obejść się nie można.

A jednak trzeba tylko umieć powiedzieć sobie, ale powiedzieć stanowczo, że na to poprostu niema. I tak jak zdrowy, smaczny i starannie ugotowany, a estetycznie podany obiad bez leguminy może być pod każdym względem wystarczający, tak i życie uregulowane, najcichsze i najdalsze od uciech jazz-bandowych, życie zapełnione pracą, opromienione dobrą książką, wartościową sztuką teatralną, wysłuchaną w skromnej świeżej bluzeczce, ożywione miłymi stosunkami towarzyskimi z ludźmi, dla których nie trzeba nic robić na efekt, którzy podzielą z nami filiżankę dobrze przyrządzonej herbaty i kromkę chleba ze świeżym masłem, jeżeli nie stać nas na nic więcej, z równą, a może nawet i większą radością, niżby spożywali frykasy ofiarowane im przez kogo innego, może wystarczyć w zupełności.

Jeżeli dodamy do tego spokój, jaki wnosi zawsze ze sobą sytuacja opanowana i uregulowana, wewnętrzne zadowolenie, brak szarpaniny i tego gorączkowego życia z dnia na dzień, towarzyszącego zwykle egzystencji nad stan, każda z nas w atmosferze, o jakiej mowa, poczuje się wkrótce szczęśliwą i zadowoloną, a zamieni na nią radośnie swoją wieczorową sukienkę i powrót z dancingu zastrutymyślnie o długich dniach, co dziela jeszcze od pierwszego, nieproporcjonalnej pustce w szkatule i trosce, nigdy nie zasypiającej, trosce wiecznych braków.

A więc wyzbywając się „dziedzicznego obciążenia“, wypływającego niejednokrotnie z warunków bytu, w jakich wzrosliśmy przed wojną, bądźmy tymi zrównoważonymi krawcami, którzy w myśl przysłowia „krają tak, jak im materji staje“, a może zniknie z powierzchni naszych egzystencji to, co nam najbardziej psuje życie, ta wieczna, wyczerpująca siły fizyczne, moralne i duchowe gonitwa za nieuchwytnym groszem.

N.....ska.

O ZNACZENIU SIŁ PRZYRODY W LECZNICTWIE

W wykładzie dla lekarzy — Ogólna higiena chorzych na gruźlicę i stosunek ich do otoczenia — znakomity profesor higieny Dr. Gantkowski powiedział, że lekarze nie doceniają rzeczy prostych i poszukują stale rzeczy nadzwyczajnych, dlatego zapominają o znaczeniu sił przyrody w lecznictwie, tymczasem one mają wpływ wielki.

Należy wspomóc organizmowi do samowyleczenia i do zachowania zdrowia. Co może łatwiej zapobiec chorobie, jak umiejętne stosowanie słońca, kąpeli powietrznych i wody.

Już Finsen wskazał lecznicze działanie słońca na skórę, a co zatem idzie i na system nerwowy. Rollier stosował słońce w leczeniu gruźlicy kości.

Chorzy na tę formę gruźlicy leżą w sanatorjum Leysin przez długie miesiące nieruchomo, tymczasem mięśnie mają grubsze, niż niejedyn zdrowy osobnik, widoczne tu jest działanie słońca górskiego. Przez umiejętne dawkowanie słońca można uzyskać większe przyswajanie soli, utrata których jest stałym objawem w gruźlicy. Słońce wzmacnia odporność organizmu, jest zatem potężnym środkiem leczniczym.

Drugim ważnym środkiem jest aeroterapia, t. j. lecznicze działanie powietrza. Jest ono zbiornikiem elektryczności, wpływ której na organizm jest niezawodny. Powietrze działa przez skórę na głębokie warstwy ciała. Powietrze czyste zawiera podtlenek azotu, N₂ O₂, ma on własności narkotyzujące, dlatego jest używany w dentystyce dla znieczulenia. Ludzie, dłuższy czas nie opuszczający mieszkania, po wyjściu na świeże powietrze są odurzeni i jakby znieczuleni.

Dlatego sypianie przy otwartym oknie jest nadzwyczaj dobre, poprawia sen i hartuje. W Anglii i St. Zjednoczonych wszyscy tak sypiają. Przyzwyczajając się do sypiania przy lekko uchylonym oknie należy już od lata.

Jakość powietrza ma wielkie znaczenie. Budowanie uzdrowisk dla chorych i przemęczonych zawsze będzie miało rację bytu. Dzięki powietrzu odbywa się regulacja ciepłoty w organizmie, przez przy-

stosowanie się odpowiednie naczyń krwionośnych do temperatury.

Powietrze stale winno przypluwać do skóry. Ubieramy się nie celowo i za ciepło. Obecna moda kobieca, o ile nieprzesadzona, dobra jest w tem, że uwzględnia działanie powietrza na skórę.

Niezapominać należy również o głębokim oddychaniu: należy głęboko oddychać od czasu do czasu, przewietrzając nasze płuca wzmagamy i krążenie krwi; głębokie oddychanie oprócz znaczenia leczniczego ma jeszcze działanie kosmetyczne, powiększając kolory na twarzach osób, umiających dobrze oddychać.

Woda stosowana w lecznictwie jest ważnym czynnikiem zdrowotnym: już od Osiesznitza jest środkiem często używanym... System D-ra Rollier, polegający na używaniu wody ciepłej i stopniowym przechodzeniu do zimnej, został zastawony w domu zdrowia w Miłowodach przez D-ra Zieniewicza. Polewa się oddzielne części ciała oprócz głowy. Daje to dobre rezultaty w chorobach przemiany materji i innych, wywołuje silne przekrwienie skóry, działa jak silny masaż.

Człowiek, żyjący w zgodzie z siłami przyrody, będzie jadł tylko to, co mu przyniesie prawdziwą korzyść, gdyż ważnym jest nie to, co się zjada, ale co organizm zdoła sobie przyswoić, dlatego dietetyka jest potrzebna. Tymczasem większość ludzi zanieczyszcza swój organizm produktami niecałkowitego spalania pokarmów. W związku z nauką o witaminach winna nastąpić reforma naszego odżywiania. Już teraz dla osób ze złą przemianą materji przepisują w miejscowościach leczniczych jeden dzień w tygodniu kuracji owocowej, po której następuje dzień mleczno jarzynowy.

Należy również pamiętać o wolnym przeżuwanym pokarmów, zaniechać alkoholu i nikotyny, które zatrują i zmniejszają łaknienie.

To są wytyczne dla tych, co chcą zachować sprawność życiową i żyć w zgodzie z siłami przyrody.

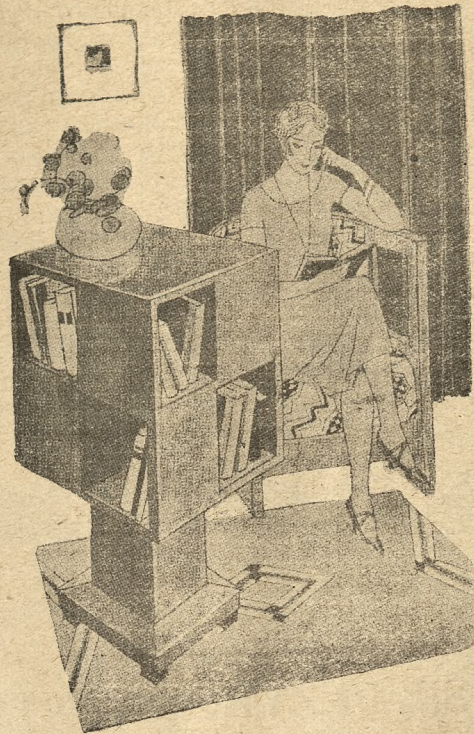
Dr. Gabryela Małewska

HISTORJA STOLIKA

Nic tak nie zdoła mieszkani i nie nadaje mu cechy zacisznej i zamieszkałej, jak małe stoliki. Tu i owdzie porozstawiane, czy to podtrzymują wazonik z kwiatkiem, czy książkę, czy robotę, zawsze zaznaczają obecność kobiety i kładą ducha w jej otoczenie. To też zajmie pewno moje czytelniczkę historja stoliczka, który począwszy od 18-go stulecia zyskał sobie prawa obywatelstwa w naszych mieszkaniach i stał się prawie że niezbędny w ich umeblowaniu.

Za czasów Regencji kiedy małe apartamenty, małe salony i małe buduariki zaznaczyły wszędy władne panowanie kobiety w rozwoju życia towarzyskiego i małe stoliczki zjawiają się na horyzoncie. W Anglii wcześniej znalazły zastosowanie, nie tak jednak wykwintne i subtelne, jak we Francji, gdyż służyły przeważnie do roznoszenia śniadań po pokojach. Różnorodność form i modeli stoliczków z ośmnastego wieku przynosi chlubę pomysłowości tapicerów i stolarzy ówczesnych. Stoliczek zwany tualetką, służył do czesania, nakrywany kawałkiem cienkiego płótna, obszytego wokoło misterną koronką, ale zawsze koniecznie płótna (toile), od którego wzięła swoją nazwę — z szufladką na grzebienie, jest jednym z najładniejszych ówczesnych wzorów. Z ostatnich lat panowania Ludwika XV-go pozostał wzór tualetki otwieranej, której wierzch składał się z trzech blacików. Zamknięte robiły wrażenie, zwyčajnego stolika, tymczasem naciśnięty środkowy blacik otwierał się pionowo i odkrywał lustro. Dwa boczne blaciki, opuszczając się, uwidaczniały wgłębienia z przegródkami, gdzie przed okiem ludzkim chowały się zazdrośnie różne muszki, róże, maście, pudry, perfumy i inne przybory potrzebne do stroju ówczesnym elegantkom. Z pod lustra wyciągało się blacik do pisania, a pod blacikiem umieszczona była szufladka. Podziwiać trzeba doprawdy dowcipny pomysł tego mebelka, mogącego służyć do tylu użytków. Tego rodzaju skomplikowane stoliki robiono przeważnie z drzewa różanego, albo ze zwyčajnego, pokrytego mozaiką z różnokolorowych kawałków forniru.

Pierwowzorem małych stoliczków jest tak



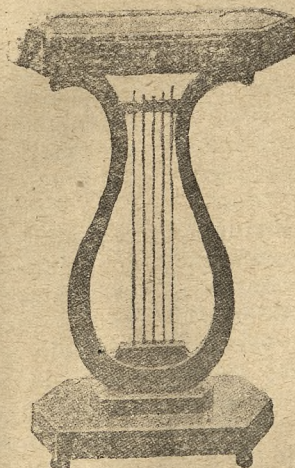
Nowoczesny stół — biblioteka

lotnych buduarowych stoliczków, w początkach swego panowania na metr wysoki, w czasach Regencji zniża się do 70 cm. — tak jakby chciał zrobić się lżejszym. Z czasem zmienia on zupełnie kształty i choć

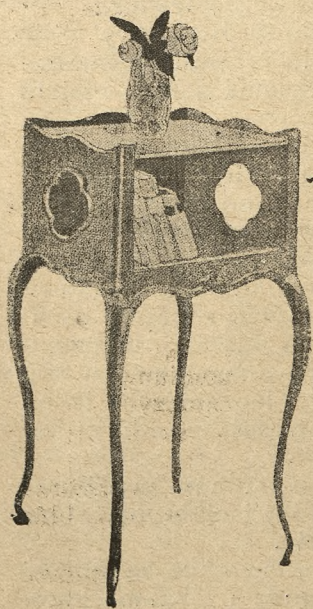
zawsze wspiera się na jednej nóżce, stosownie do mody przechodzi różne przeobrażenia. Za Ludwika XVI gierydon niekoniecznie bywa okrągły, może być owalny, prostokątny, albo fantazyjnej formy i wtedy opiera się na czterech nóżkach — między którymi często umieszczana jest półka w formie tacki. Za czasów Dyrektoriatu wspiera się blacik na podstawie w formie liry i w tej epoce jest najładniejszy. Za Cesarstwa obciążają go ciężkie ze złoczonego brązu ozdoby i powoli wraca do pierwotnego kształtu trójnoga. Sztuka nowożytna nadała mu najniespodziewańsze formy

— nie stworzyła jednak nic nowego, ograniczając się tylko do pomieszenia i spaczenia pierwiastków, o których mówiliśmy. Gierydon, który przypomina swoją klasyczną formą trójnog Sully, służy amatorom rozmów z zaświatem jako łącznik do wywoływania duchów, im starszy, tem silniejsze mają być jego własności w tym kierunku.

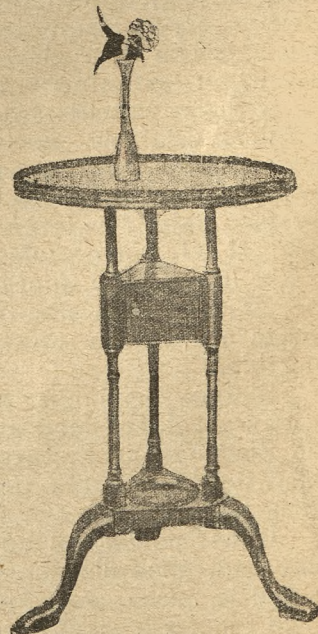
Tego rodzaju mniemanie dało powód do



Stół do roboty z epoki Dyrektoriatu



Stół nocny w. XVIII



Gierydon z XVIII w.

zwany gierydon — składał się z okrągłego blacika na jednej nóżce, początkowo zupełnie prostego, obsadzonego w mniejszą, jak blacik, okrągłą deseczkę, do której dopasowane trzy kule toczne z drzewa, służyły jako nóżki. Powoli kształty jego doskonaliły się, z prymitywnych stawały ozdobne, zmieniały formy i użytek. Pojedyncza noga, podtrzymująca blacik, z tocznej robiła się rzeźbioną, wkońcu rozdzieliła się u dołu na trzy odnogi. Taki stół służył do przystawiania na noc do łóżka na świecę, nocną lampkę i wszystko co pod ręką w nocy potrzebnym być mogło. Gierydon poprzedza nocny stół, który choć zdawałoby się, że powinien być przynajmniej tak stary, jak łóżko, dopiero od dwóch wieków jest znany.

Wieleż to przedmiotów nie tak dawno wprowadzonych w użytek tak szybko przyswoiło się, że stały nam się nieodzownymi, jak np. zegarek, widelec, serwetka. Gierydon, ten surowy pradziad ze-

przyloczenia zabawnej anegdoki; w pewnym salonie, w którym z zapalem oddawano się seansom spirytystycznym, starano się wywołać duchy kilku sławnych ludzi. Skoro jednak tak Napoleon I. jak Katarzyna Medycejska dąsali się i nie chcieli przybyć, ktoś zaproponował, aby tymczasem zapytać stolika w jakim jest wieku. Świadkowie, wiarogodni, opowiadali później, że stolik wypukał, że dziesięć lat temu został sfabrykowany na przedmieściu St. Antoine. Pani domu, dużna z antyków, którymi lubiła się przechwalać—uśmiechnęła się blało, przypisując niepożądaną szcerość stolika, niedyskretnemu naciskaniu go przez jednego ze złośliwych gości. — Voltaire z pewnością, że stoliczek nocny w początkach osiemnastego wieku, składał się z dwóch półeczek odległych od siebie o 20 cm., opartych na czterech nóżkach. Te półeczki połączone były z trzech stron deseczkami ażurowymi. Dużo starych, ozdobnych mebelków, które dziś sprzedają jako małeńkie salonowe biblioteczki, nie są niczem innym, jak dawnymi nocnymi szafkami, którym dodano po jednej półce. Za Ludwika XVI szafki nocne były zupełnie otwarte, poprzeczne tylko półeczki, u szczytu łączą się dwoma deseczkami. Dopiero za Ludwika Filipa powstały nowe stoliki nocne, w kształcie szafek, zamykanych hermetycznie, jakby kasy ogniotrwałe.

Dzisiejsza moda zwalcza je, jako rzeczy ciężkie bez żadnego polotu, a stara się zastąpić je gierdydonami, podtrzymującami lampkę elektryczną, ulubioną książkę, albo pełen wdzięku i zapachu bukiet fiołków.

Stolik do kart to ostatnie słowo triumfu sztuki stolarzkiej osiemnastego stulecia. Żaden materiał nie jest na niego za kosztowny, żadne drzewa za rzadkie, zdobią go medaljony z porcelany Sewrskiej, drogocenne mozaiki, olejne malowidła, brzozy i złocenia. Na temat tego mebla ciekawą uwagę, ilustrującą obyczaje, zamieszcza poważne dzieło „o meblach osiemnastego stulecia“. Kiedy około 1770 r. zjawiły się, proste linie stylu Ludwika XVI przy stolikach do kart nogi pozostały zawsze wygięte, a to „aby dać większą swobodę nogom graczy“.

Damskie stoliki do kart nadal pozostają wierne swojemu typowi i zachowują „sarnie nóżki“. Niepodobna w jednym artykule przedstawić wszystkich wzorów stoliczków, zachowanych w cennych wspomnieniach, jest jeszcze stolik do czytania, podnoszący się, jak pulpit, na któ-

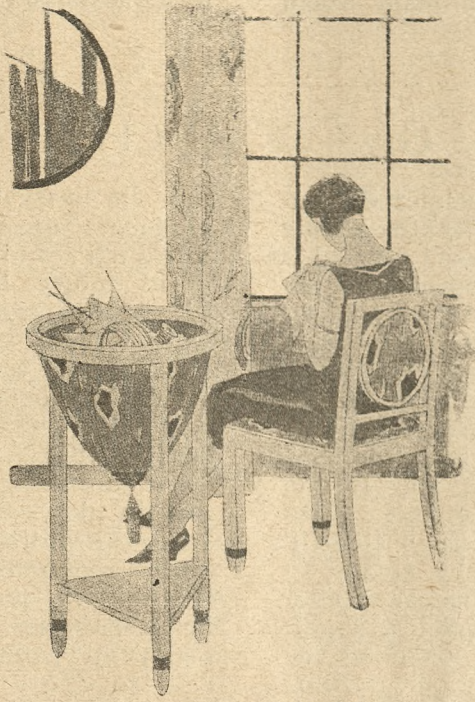
rym opiera się czytana książka. Stolik - biureczko, oryginalny mebelek, służący do pisania, do kart, i do gry w szachy, lub arcaby. Stolik - żardinierka, obsadzony na trzech nóżkach, stolik do roboty z woreczkiem atlasowym, w którego wierzchu lusterko [się kryje, lusterka musiały być wszędzie w osmnastym wieku, stolik-szyfonierka, stolik etażerka do herbaty, treflik i wiele, wiele innych. Wytwórczość tych wymuskanych mebelków wstrzymana zostaje za Cesarstwa, zapchanego meblami przeladowanymi złotem, napuszonemi i nadętymi, jakby pyszniły się bogactwem, upajały świetnością i sławą epoki.

Za Ludwika Filipa, zwolennika skromności na każdym polu, małe stoliki wracają ze strychów do salonów. Cesarzowa Eugenia, rozkochana w osmnastym stuleciu, przywróciła stoliczkom dawną ich świetność. Kazała wyszukiwać i skupować za swoje prywatne fundusze pozostałości po Marji Antoninie. Posiadała po niej cudowny mahoniowy stoliczek, który obecnie wzbogaca zbiory w

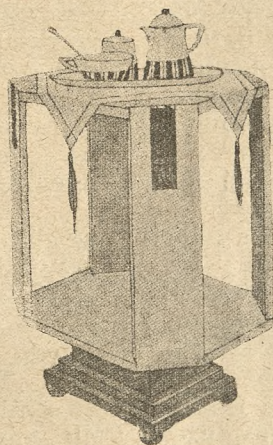
Luwrze. Oprócz niego miała Eugenia jeszcze cztery śliczne stoliczki, pochodzące z tego samego źródła, spalone podczas pożaru St. Cloud. Emil Gallé, pragnąc odrodzić sztukę meblową równocześnie, jak i szklarską, wymyślił ładne formiowane stoliki w naturalistycznym stylu, gdzie za ledwie odznaczone kwiaty i widoki zdobiły drzewo. Niektóre z wyrabianych dziś małych mebelków przybierają formy kubistyczne, nie mające żadnego wdzięku. Stoliczki chińskie z laki bardzo są modne i na miejscu, porozstawiane wśród ogromnej ilości tak bardzo dziś używanych poduszek.

Bez końca naśladowane ulubione stoliczki naszych prababek zawsze nam są miłe, przypominają te, które przy nich pracowały, lub czytały, ich szufladkom powierzały swoje tajemnice, a na drzewa lśniące, jak ich spojrzenie, ze łzą w oku kładły przeczytany tom Lamartine'a.

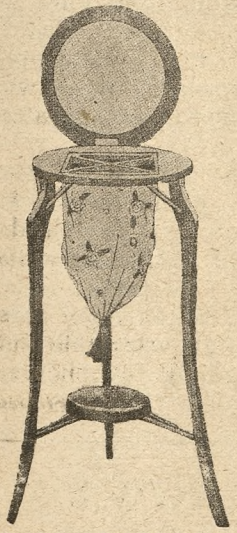
A teraz porównajmy przeszłość z teraźniejszością te stoliczki przeszłości, wytwór wyrafinowanej, ale zniewieściałej elegancji z dzisiejszemi, prostemi, mocnemi stolikami, obmyślonemi na wygodę, a przede wszystkim na oszczędzenie każdej chwili czasu. Wszystko w nich się kręci, obraca — zdawałoby się, że do nas wołają: „prędzej, bo kto nie prześcignie, ten będzie zepchnięty“ Czyż nie dokładnie oddany duch epoki, w której żyjemy. Hasło Pośpiech i Oszczędność wiernie uwydatnia się w ich wykończeniu, proste, solidne, łatwe do zro-



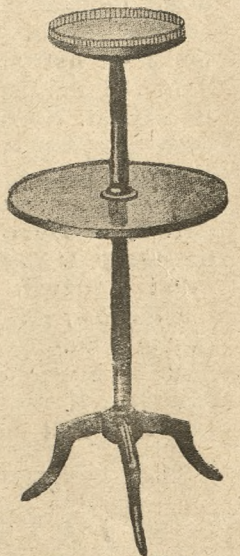
Nowoczesny stolik do roboty



Stolik współczesny



Stolik do roboty z lusterktem w. XIII



Gierdydon z XVIII w.

bienia od biedy nawet samemu, nie odznaczają się wdziękiem, ani wykwintem, ale są mocne, z taniego materiału, odpowiednie dla ludzi, którzy zmuszeni ciężką pracą budować przyszłość, nie mają czasu

roztkliwiać się nad przeszłością, rozpieszczać wzroku widokiem jej subtelnych kształtów, a nadewszystko uważać, aby ich nie uszkodzić. My musimy być silni, a dla silnych ludzi, silnego potrzeba otoczenia. I. S.

GAZ W KUCHNI

Niestety nie dla wszystkich czytelniczek „Bluszczu” jest gaz dostępnym paliwem. Wieś nasza nie prędko się jeszcze go doczeka. Już przed laty kilka zaczęto gdzieś około Szczakowej budować dużą gazownię, która miała dostarczać całej okolicy, fabrykom i warsztatom, dworom i chatom tego czystego i taniego paliwa i oświetlenia. Nie wiem dokładnie, ale mam wrażenie, że obecny zastój w przemyśle musiał wstrzymać urzeczywistnienie tego pięknego projektu. Dużo jednak miast prowincjonalnych oddawna posiada gazownie, służyły one dotychczas przeważnie do celów oświetlenia. Nasz klimat surowy wymaga na zimę instalacji kuchennych, węglowych lub drzewnych, któreby, służąc do gotowania, ogrzewały. Przez siedem, lub osiem miesięcy w roku to opalenie izb kuchennych jest zupełnie zbyteczne, blachy węglowe można doskonale zastąpić nic nie kosztowniejszym, a czystym i niekłopotliwym w użyciu gazem. W dawniejszych kuchenkach gazowych palniki były tak urządzone, że większa część ciepła wydzielanego przy spalaniu gazu szła na marne.

Nieumiejętne kucharki godzinami całymi trzymały otwarte kurki maszynki, lub gotowały na nich nieskończoną ilość na nic niepotrzebnej wody — aby nie marnować zapalek i czasu przy ponownym zapalaniu. Przy najmniejszym niedogłędzie mleko lub zupa wykłapały, mięso przydymiało się, konfitury przypalały. To też przeważnie panowała duża niechęć do gazu w kuchni. Trudności mieszkaniowe, zmniejszona ilość służby, konieczność zajęcia się chociaż częściowo kuchnią samej pani domu, zwiększyły znacznie ilość kuchenek gazowych. Szczególniej gazowe żelazka do prasowania weszły w powszechne użycie. Kuchenki gazowe uważano jednak za „mal necessaire”, za dowód biedy i przygnębienia powojennego. Szczególnym ich brakiem, była niemożność upieczenia jakiegobądź pieczystego, lub ciasta. Gotowało się na nich, smażło i dusiło, jak mówią kucharki „na wierzchu.” Tymczasem czas, pomysłowość ludzka i matka wynalazków — potrzeba robiły swoje. Powoli udoskonalono palniki, są one dużo lepiej skonstruowane, płomień da się dowolnie regulować, można go doprowadzić do rozmiaru główki od szpilki. Kucharka, wychodząc z kuchni, potrzebuje tylko przykręcić nieco kurek i może być spokojna, że potrawa ani wykipi, ani się przypali, a jednak zupełnie nie ostygnie, a nawet nie przestanie się gotować. Duże piecyki gazowe, niektóre zaopatrzone nawet w mechaniczny rożen, dają możliwość pieczenia dużych sztuk drobiu, pieczeni, rozbełwów i combrów, placków, tortów i babek. Cała kuchnia gazowa, zaopatrzona w cztery fajerki, przyrząd do grzania wody do zmywania i piecyk o dwóch koncygnacjach, nie zajmuje więcej miejsca niż zwykły, nieduży stół kuchenny. Są to jednak przyrządy

nie dla wszystkich dostępne dla ceny i dla braku miejsca. Całe szeregi reemigrantów i pracującej inteligencji zamieszkują w pojedynczych pokojach, gdzie mowy być nie może o specjalnej kuchni. W najmniejszym jednak pokoiku można zainstalować fajerkę gazową z palnikiem ekonomicznym, zajmuje ona tyle miejsca, co zwykły talerz i pomyślnie gospośnia potrafi na niej wybornie gotować. Wszystkie „obiady na maszynce”, podawane co miesiąc w „Bluszczu”, nietylko na maszynkach naftowych gotowane być mogą. Jeszcze łatwiej będzie gaz do nich zastosować. Wszystkie uwagi o przykręcaniu knota, zwiększeniu ognia itp. można wykonać za pomocą przykręcania kurka. Oprócz tego tym małym, jednopokojowym gospodarstwom przybył najnowszy wynalazek, aparat „Prodige”, który niech mi wolno będzie na „Cudotwór” spolszczyć. Jest to spory aluminiowy kociołek, który można postawić na każdym gazowym palniku i w którym można, jak w dobrym piecu, piec torty i placki, ciasto drożdżowe i pierniki, szarlotki i pasztety, mięso i ryby. Dowcipnie pomyślane otwory w pokrywie pozwalają regulować ciepło tak dalece, że możemy dowolnie rumienić spód, lub wierzch ciasta, czy pieczeni i jednocześnie kontrolować jej wygląd. Przypuszczam, że jeszcze wiele przybędzie nowych wynalazków, że nawet i sam „Cudotwór” będzie udoskonalony. W każdym razie taki jak jest, rozstrzyga wybornie kwestję pieczenia ciast domowych i pieczystego w małych gospodarstwach, i niejedno jednopokojowe gospodarstwo będzie mogło mieć domowe placki i torty, dzięki temu aparatowi.

Jeszcze pozostaje kwestia umiejętnego użytkowania gazu, oczywiście inteligentne osoby przy praktyce, za którą się zawsze błędami popełnionymi płaci, same mogą dojść do poważnych rezultatów, gorzej jest ze służbą, tutaj zarozumiałość z jednej, rutyna z drugiej strony, często stoją na przeszkodzie. W Warszawie można się nauczyć gotowania na gazie, w Zakładach Gazowych. Nauka jest zupełnie bezpłatna. W jednym miesiącu jest kurs dla kucharek, w drugim dla pań. Po czterech dwugodzinnych wykładach, połączonych z zajęciami praktycznymi, zwykła kucharka zupełnie opanowuje technikę ohchodzenia się ze wszystkimi aparatami gazowymi.

Co może umiejętność, tego dowód mieliśmy na ostatnim egzaminie konkursie, gdzie zwykłe kucharki potrafiły ugotować obiad z czterech dań obliczony bardzo obficie na sześć osób, zużywając gaz za 16 i pół grosza.

Łódź i Kraków mają mieć takie same kursa gotowania, a jestem przekonana, że wszystkie inne miasta, posiadające gazownie, pójda za ich przykładem.

Pani Elżbieta

NOWOŚCI LETNIE
NADESZŁY

Wysyłka prób i zleceń
ponad zł. 25—bezpłatnie.

BRACIA JABŁKOWSCY
Warszawa, Bracka 25.



WŁOSKIE RAVIOLI.

Pół kilo szpinaku sparzyć wrzątkiem, przepuścić przez maszynkę, lub posiekać drobno nożem, zasmażyć w rondelku łyżkę masła, włożyć na to szpinak, gotować pięć minut, zaprawić łyżeczką mąki, aby był bardzo gęsty, osolić do smaku. Z pół kilo mąki, jajka i wody zagnieść ciasto jak ra zwykle pierogi, rozwałkować jak najcieniej, krajać małe kwadraciki, kłaść na każdy, kawianą łyżeczką, nieco szpinaku, łączyć i zaciskać mocno brzegi. Raviolki powinny być jak najmniejsze, jest to ich zaletą.

Wrzucać na osolony wrzątek, gdy wypłyną odcedzić na durszlaku, wyłożyć na półmisek lub salaterkę i polać lekko zrumienionem masłem. Na oddzielnym talerzu podaje się do nich ostry ser tarty, najlepiej parmezan, każdy jednak inny byle ostry, smaczny, może być użyty.

SMARDZE W ŚMIETANIE.

Pierwsze wiosenne grzyby, smardze, dobrze przyrządzone niewiele ustępują w smaku grzybom prawdziwym, są ich dwa gatunki, jedne brązowe, mające kształt krzaczka, drugie jaśniejsze, bardziej kształt grzyba przypominające, na białej nóżce, oba są równie smaczne. Smardze po oczyszczeniu z korzonków i ziemi, wrzucić na chwilę w ciepłą wodę, zamieszać, aby resztki ziemi pozostały w wodzie, natychmiast durszlakową łyżką wyjąć, gdyż i tak już są bardzo wodniste, a w wodzie leżąc smak tracą, potrzymać je kilka chwil minut na durszlaku lub sicie, aby dobrze osiły z wody. Na pół kilo smardzów zasmażyć w rondlu sporą łyżkę masła z dużą cebulą pokrajaną w paski, wrzucić smardze, wymieszać, przykryć pokrywą, dusić diesięć minut od chwili zagotowania, osolić do smaku, popieprzyć, łyżkę mąki pszennej rozbić w szklance dobrej śmietany kwaśnej, wlać do grzybów, pogotować nie więcej jak dwie minuty i podawać z przysmażonymi grzankami z bułki, z gorącymi kartoflami z woły, lub jako garnitur do kotletów siekanych, czy odbijanych, pieczeni, polędwicy, lub każdego smażonego, lub pieczonego mięsa.

FORSZMAK Z RESZTEK MIĘSA.

Jakiegokolwiek mięso gotowane, smażone lub pieczone pozostałe z obiadu a nawet drobne kawałki i żyłki pozostałe przy kościach gotowanych na zupeć można użyć na forszmak. Czterdzieści deka takiego mięsa przepuścić przez maszynkę z dziesięcioma deka ugotowanych, zimnych kartofli. Jednego dużego, lub dwa małe śledzie wymoczyć, orzścić z ości, przepuścić przez maszynkę, lub usiekać drobno nożem. Dużą cebulę, drobno posiekaną, zasmażyć w łyżce masła, dodać śledzie, podsmażyć razem,

włożyć w masę mięsną, dobrze wyrobić, osolić do smaku, nieco opieprzyć, wbić do trzech jaj, wyrobić raz jeszcze, gdyby farsz był za suchy wlać rosół, wody, lub mleka. Formę glinianą, lub blaszaną wysmarować masłem, wysypać huleczkę, włożyć farsz, wygładzić, położyć parę kawałeczków masła na wierzch i wstawić w miernie gorący piec na pół godziny. Wyrzucić na półmisek, obłożyć grzankami, kartoflami z wody, a w sosjerce podać oddzielnie kwaśną śmietanę.

FORSZLAK CIEŁĘCY Z BRUKWIĄ.

Zwykle jadeny forszlak cielőcy pieczony, przy czym tłuszcz otaczający nerkę, cały się topi, mięso zaś usycha. Daleko racjonalniejszym jest duszenie forszlaku w rondlu. Kilo forszlaku od ładnej, białej ćwiartki, wymoczyć w paru wodach, nie mocząc długo, gdyż mięso traci przez to na smaku, ułożyć w misce, sparzyć wrzątkiem, potrzymać w nim dwie do trzech minut. To parzenie wpływa na, to że mięso zostaje soczystsze wewnątrz. Wodę zlać, cielőcinę obetrzeć chustą do sucha, nasolić. W sporym garnku rozpuścić małą łyżkę masła, (forzszak ma dużo własnego tłuszczu), zamienić mięso ze wszystkich stron. Dużą brukiew, lub dwie mniejsze, obrane z łupiny, pokrajać na kawałki rozmiaru włoskiego orzecha, włożyć do cielőciny i dusić w obfitym tłuszczu przez nią wydzielanym, aż zmięknie i nabierze ładnego, rumianego koloru. Cielőcinę pokrajać ładnie tak, aby przy każdym kawałku był kawałek nerki z tłuszczem, naokoło obłożyć brukwią, która w taki sposób przyrządzana, jest tak smaczna, że ją nawet ci, którzy z wyklej brukwi nie znoszą, chętnie jedzą.

Fani Elżbieta.

KORESPONDENCJE DZIAŁU PRAKTYCZNEGO Z DZIEDZINY KOSMETYKI

Pani Marja z Wilna.

Wszelkie reklamowane cudowne środki, zwykle, jeżeli nie zaszkodzą, to w każdym razie nic nie pomogą. Biust zniszczony karmieniem poprawić można jedynie, stosując masaż racjonalny, umiejętną ręką wykonany.

Zmartwionej.

Jeśli skóra pani nie znosi mydła, które ją zadrażnia, można temu zaradzić, używając do mycia się kwasu borney Eunicę wyrobu Karpińskiego. Eunicę zniżykca wodę, rozpuszcza tłuszcz i oczyszcza, może zastąpić mydło.

Grud. W.

Na cerę ziemistą proszę stosować 2 razy w tygodniu kąpiel prąmienna z ryżu (na litr wody 2 łyżki ryżu, gotować pół godziny). Z tego płynu robić 10 okładów gorących, a 10 z zimnej wody. Następnie wetrzeć „Mój krem“ i przypudrować „Moim pudrem“.

Na włosy poradzić nie można, gdy się nie ma żadnych danych. Proszę o szczegóły i włos wyrwany wraz z cebulką do analizy. Zarazem proszę o podanie dokładnego adresu, gdyż z braku tegoż wstąpić nie było można listu.

Na łamach „Bluszczu“ odpowiedzi są udzielane bezpłatnie. Z powodu nawału materiału nie mogą być umieszczone tak szybko. Honorarium za list prywatny z poradą liczy się, jak wizyta u lekarza, 15 złotych.

„MOJ KREM“ i „MÓJ PUDER“ HIGJENICZNY WE WSZYSTKICH
ODCIENIACH

DR. MED. J. ŚWITALSKA.

SKŁAD GŁÓWNY TOW. AKC. KARPIŃSKI — ELEKTORALNA 35

Uważnej.

Przy artretycznych cierpieniach należy stale być pod opieką lekarską, ażeby nie dopuścić do grożącego ataku bólów artretycznych. W najbliższym czasie napiszę artykuł obszerniejszy o artretyzmie, jego przyczynach, skutkach, leczeniu i t. d. Obecnie zaś tylko w paru słowach odpowiem. Przedewszystkiem proszę stosować nadal dietę, którą Pani w liście tak dokładnie i starannie opisała. Ze środków wewnętrznych polecałabym Piperazynę i Uridol. Sposób użycia następujący: 3 razy dziennie po miaręcznie przed jedzeniem, piperazynę wyżyć 3 flakony, następnie identycznie 3 flakony Uridolu. Tydzień przerwy, a po tygodniu znowu 1 flakon Piperazyny, następnie jeden flakon Uridolu. Całe leczenie skłała się z wyżycia czterech flakonów Piperazyny i czterech flakonów Uridolu. Leczenie takie przeprowadzać trzeba 2 razy do roku. Stale zaś co miesiąc wyżyć na zmianę 1 flakon Piperazyny i 1 flakon Uridolu. Polecieć mogą doskonałe wyroby Uridolu i Piperazyny Tow. Akc. Fr. Karpiński w Warszawie.

Konin.

Podczas ciąży stosować ziółka Jararaki nie można, bo chociaż są nieszkodliwe, lecz nie dadzą efektu. Nosić potrzeba pas specjalny ciążowy, po porodzie natomiast pas z gumowej plecionki.

Pas gumowy idealny z plecionki z wycięciem z przodu kosztuje około 100 zł., dostać go można w sklepie przy ul. Wierzbowej „Aux quatre saisons“.

M. T. Kobryń.

List ze wskazówkami wysłany.

Przasnysz.

Farba do brwi „Henna l'Oreal“ w płynie, lub „Saphiryna“ Dr. Frenkla, farby roślinne, nieszkodliwe; używać trzeba raz na miesiąc.

Znicz w Lwowie.

Ból głowy nie daje żadnych wyjaśnień co do przyczyny wypadania włosów. Nie znając przyczyny, trudno coś skutecznego poradzić. Ból głowy może być na tle anemji, chorób przemiany materji, zaburzeń przewodzenia pokarmowego, choroby serca, płuc, chorób kobiecych, ogólnego wyczerpania, przecapowania, nieodpowiedniego trybu życia i t. d. i t. d.

Kropelce ze Lwowa.

Proszę przysłać do analizy włos, oraz dokładny adres odwrotną pocztą przesłać Jej receptę na wzmocnienie włosów. Przedwczesne siwienie włosów może być dziedziczne, troski i zmartwienia również przyczyniają się w dużej mierze. Należy wzmocnić organizm, wzmocnić włosy i odpowiednio je pielęgnować. Proszę przeczytać moją książkę „Piękność i zdrowie w życiu kobiety“, wydawnictwo „Bluszcz“. Dr. J. Świtalska.

Międzynarodowa Wystawa Sztuki Dekoracyjnej w Paryżu — w reprodukcjach w Warszawie

T-wo „Zdobnictwo Polskie“ zorganizowało wystawę w Warszawie z inicjatywy i staraniem p. Natalji Bobrówny, sekretarki T-wa która przez szereg miesięcy pracowała w Paryżu nad zrealizowaniem swego interesującego i pożytecznego projektu. Wystawa Paryska w reprodukcjach daje nam możliwość poznania Sztuki Dekoracyjnej wszystkich państw, biorących udział w tym wszechświatowym pokazie, uczy zrozumieć, jak silnie związane jest życie ze sztuką i udowadnia, że każdy warsztat bez łącznej pracy z artystami istnieć nie może, przekonamy się wreszcie ile pomocy i troskliwej opieki dają rządy wytwórciom i artystom dla poparcia i wzmocnienia produkcji.

Podczas trwania wystawy uproszeni pp. artyści wygłoszą szereg odczytów o sztuce dekoracyjnej.

Wystawa mieści się w Resursie Obywatelskiej. Otwarta została 24 kwietnia.

OPIS SUKIEN I ROBÓT DO Nr. 18

371. Suknia z kasha koloru parme, kamizelka kremowa.
372. Suknia z peleryną z lekkiej wełny, kamizelka z georgette'y.

373. Palto z piaskowego rypsu, przybrane guzikami.

374. Sukienka dla sześciolatniej dziewczynki, przybrana wyszyciem kolorowem.

375. Sukienka z woalu szmaragdowego, kołnierzyk i mankiety białe.

376. Suknia z kasha granatowego, układana w kontrafałdy.

377. Palto z sukna brązowego.

378. Suknia z crêpe de chine'u w dwóch cieniach rezedowych.

379. Letnia suknia z kreponu de seniorego

380. Sukienka dla czteroletniej dziewczynki, przybrana falbankami.

381. Suknia z kreponu turkusowego, plisa i kamizelka białe.

382. Sukienka przybrana mereżką i haftem dla dziewczynki dwunastoletniej.

383. Bluzka przybrana mereżką.

384. Bluzka z rypsu kremowego, przybrana zefirem w kratę.

385. Sukienka z granatowego kasha, krawat i guziczki ponsowe.

386. Sukienka z karczkiem dla dziewczynki sześciolatniej.

387. Sukienka z satyny deseniowej, plisa gładka.

388. Szlafrok z woalu koloru parme.

389. Serwetka na tacę, haft angielski.

UWAGA: Kroje modeli, umieszczonych w Dodatku Mód, dostarczamy po cenach następujących:
palto, lub suknia fantazyjna zł. 3.50
suknia zwyczajna „ 2.50
bluzka „ 2.00
formy dziecinne „ 2.00
bielizna „ 1.50

Formy i wzory wysyłamy tylko po otrzymaniu przy zamówieniu należności w znaczkach pocztowych, lub przekazem.

Z powodu wynikłych nieporozumień wyjaśniamy co następuje: ogłaszane przez nas arkusze wzorów w cenie 30 gr. są to oddzielne arkusze, które były dodawane do „Bluszczu“ w ciągu roku 24 i 25 i których pozostała niewielką ilość możemy odstąpić naszym Czytelniczkom.

Wzory, umieszczane w zmniejszeniu w dodatku mód i robót, nie mają z temi arkuszami nic wspólnego i mogą być dostarczone w wielkości naturalnej po cenach następujących:
obrus — makata — ekran — zł. 2,50, poduszka — serwetka — zł. 1,50, drobne desenie — gr. 75.

Przy zamawianiu wzorów należy koniecznie wymienić numer wzoru i rok, gdyż innych wzorów, poza temi, które były umieszczane w „Bluszczu“ nie wysyłamy.

Wysyłanie za zaliczeniem kosztuje więcej, niż forma, lub wzór i dlatego zapewne wiele prętematerek nie wykupuje zamówień, narażając nas na duże straty.



MYDŁO W PASCIE NISZCZY SMALCĘ



DENTOLIN

NAJLEPSZA PASTA DO ZĘBÓW
BEZ DOBATKU MYDŁA

WYDZIAŁ F. KARDIŃSKI W WARSZAWIE



Chorzy! Używajcie tylko pewne **Chorzy!**
i wypróbowane środki

Tysiące ludzi okrutnie chorych uzdrowiły
od 1882 roku

REFORMACKIE

pigułki z m. Zakonnik



Zalecane przez powagi lekarskie REFORMACKIE pigułki z m. zakonnik radykalnie usuwają wszelkie cierpienia ŻOŁĄDKOWE, cierpienia NEREK, cierpienia WĄTROBY, KAMIENIE ŻÓŁCIOWE, cierpienia HEMOROIDALNE, REUMATYZM, ARTERYZM, bóle GŁOWY, WYRZUTY i LISZAJE, pobudzają TRAWIENIE, APETYT i przy skłonnościach do OBSTRUKCJI są niezastąpionym środkiem PRZECZYSZCZAJĄCYM.

Wzięcie 1 do 2 pigulek na noc. Cena pud. zł. 1.35
Wyrobu apteki KARCAEWSKI-TUSZYŃSKI Warszawa, Trębacko 4.
Żądać w aptekach i składach z Zakonnikiem.

Z BELLETRYSTYKI RODZIMEJ

Dorożyńska, Na ostatniej placówce	Zł. 10.—
Gawalewicz, Dla ziemi	6.—
„ Drugie pokolenie	6.—
Kozicka, Burza od wschodu	12.—
Miciński, Włta	8.—
Orzeszkowa, Anastazja Bene - Nati	5.—
„ Dziurdziowie. Cham.	5.—
„ Gloria victis!	2.50
„ Nad Niemnem 2 t.	9.—
Prus, Anielka	3.35
„ Faraon 3 t.	18.—
„ Lalka 3 t.	17.—
„ Placówka (wyd. pop. 3.75)	6.—
Reymont, Chłopi 4 t. zł 25. w opr. pł.	50.—
„ „ wyd. pop. 9.— w kart.	11.—
„ Pęknięty dzwon	4.80
„ Rok 1794 3 t.	24.20
Rodziewiczówna, Byli i będą	4.—
„ Dewajtis (wyd. jubileuszowe)	6.80
„ Macierz	3.—
„ Pożary i zgliszcza	4.—
„ Straszny Dziadunio	2.—
Sienkiewicz, Ogniem i mieczem 2 t.	7.60
„ Potop 3 t.	12.60
„ Pan Wołodyjowski	4.80
„ Cała trylogia w oprawie płóciennej	43.—
„ Rodzina Połanieckich 3 t.	12.—
„ Quo vadis?	4.50
Szczucka, Beatum scelus	3.60
„ Pozoga	8.—
Weyssenhoff, Noc i świt	9.—
Żeromski, Międzymorze	2.50
„ Popioły 3 t. zł. 18.— w opr. pł.	27.—
„ Sisyfowe prace	5.50
„ Uciekła mi przepióreczka.	3.—

NAJA TRIPUDIANS

(ZMIJA EGIPSKA)
ANNIE VIVANTI
JEST TO

„Mocno napisana i konsekwentnie zbudowana powieść, wyświełająca wiele problemów etycznych, niepokojących dzisiejsze społeczeństwo.“

Z. RABSKA
(Kurjer Warszawski.)

Cena zł. 3 —
Z przesyłką poleconą 3.50.

ZBIÓR MONOGRAMÓW

Z. MACHOWICZOWEJ
JEST
IDEALNYM NAUCZYCIELEM
HAFTOWANIA.

Zaopatrzone w ilustrowane wskazówki i odpowiednie pouczenie, pozwala korzystać nawet nie umiejącym haftować.

Cena z przesyłką zł. 5.—

NASZ
DZIAŁ KSIĘGARSKI
DOSTARCZY KAŻDĄ KSIĄŻKĘ
NA WARUNKACH, PODANYCH
W POPRZEDNIM NUMERZE
„BLUSZCZU“.

Konto P. K. O. 3.700.

NOWOŚCI OSTATNICH TYGODNI

Antoniewicz, Z dziedziny organiz. nauki	6.—
Arct. 25.000 wyrazów obcych	9.—
Beraud, Co widziałem w Moskwie	3.60
Dyakowski, Z puszczy Białowieskiej	3.—
Dygasiński, Gody życia	2.95
Giellerup, Gdym po raz pierwszy ujrzał ją.. (B. Laur. Nobla 42)	7.—
Girard, Sekretarz ambasady	3.50
Iwazskiewicz, Pejzaże sentymentalne	4.50
Kosiakiewicz, Rodzina Łatkowskich	2.20
Lutosławski, Tajemnica powszechnego dobrobytu	8.50
Manclair, Florencja (z ilustrac)	24.—
Ossendowski, Płomienna północ 3 t.	19.50
Rodziewiczówna, Niedobitowski z granicznego bastjonu	3.60
Słoński, Autologia współczesnej poezji polskiej	—30
Stępowski, Sad w środku miasta (powieść)	3.60
Sujkowski, Polska niepodległa	5.40
Tomkowicz, Ulice i place Krakowa	10.—
Wierzbiński, Virtuti militari	1.20
Yeats, Opowiadanie o Hanrahanie	5.—
Zahorowska, Zmartwychwstanie	2.50
Zakrzewska, Illo tempore	1.—

NOWOŚCI MUZYCZNE

Mignon, Znasz li ten kraj	—20
Kozak Moniuszki	—20
„Uchar kupiec“	—20
O władco świata, Moniuszki	—20
W noc księżycową. Romans cygański	—20
Wino, kobieta, śpiew. Walc Straussa	—20
Nad pięknym modrym Dunajem. Straussa	—20
Już dzwoneczki srebrne dzwonią. Romans cygański	—20
Zbiór kujawiaków	—20

Z WYDAWNICTWA MINIATUROWEGO NUT

Jedynie piękną cerę nadają

KREMY I PUDRY HIGJENICZNE

Wyrobu Laboratorium Apteki
M. MALINOWSKIEGO

Warszawa, Nowy Świat 31.

177



175

Wydany przez nas bardzo starannie,

ZBIÓR MONOGRAMÓW

zawierający przeszło sześćset wzorów od wykwintnych do najskromniejszych, dorównyduje pod względem wykonania zagranicznym tego rodzaju wydawnictwom, a mając charakter swoisty, bardziej odpowiada wymogom domu polskiego.

Każdy, nie umiejący nawet haftować, z naszego „ZBIORU” (ze względu na ilustrowane pouczenia) skorzystać potrafi.

Za jeden monogram płacie Panie około 2 zł; cena naszego „Zbioru” wraz z przesyłką pocztową wynosi tylko 5 zł.

Wysyłka natychmiastowa po nadesłaniu pieniędzy przekazem pocztowym. Za zaliczką wysyłamy tylko po otrzymaniu 1 zł. znaczkami pocztowymi.

ADMINISTRACJA „BLUSZCZU”

Warszawa, Krak.-Przedm. 99.

Konto P. K. O. 3700.

REDAKCJA I ADMINISTRACJA, WARSZAWA, KRAKÓWSKIE-PRZEDMIEŚCIE (PLAC ZAMKOWY) Nr. 99. TELEFON Nr. 230-40. KONTO CZEKOWE P. K. O. Nr. 3700.

PRENUMERATA „BLUSZCZU”

z przesyłką pocztową wynosi:

Rocznie — 57 zł. 60 gr., kwartalnie — 14 zł. 40 gr.

Miesięcznie — 4,80 gr. Zagranicą — 8 zł.

Zmiana adresu 30 gr.

CENY OGŁOSZEŃ:

Na okładce: stronica $\frac{1}{4}$ — 450 zł., $\frac{1}{2}$ str. — 260 zł.,

$\frac{1}{4}$ str. — 150 zł., $\frac{1}{8}$ str. — 80 zł., $\frac{1}{16}$ str. — 45 zł.,

$\frac{1}{32}$ str. — 30 zł. Za tekstem o 50% drożej.

Wkładki reklamowe i reklamy opisowe — według umowy.